MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 50. WARSZAWA, 25 PAŹDZIERNIKA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

O PRZYSZŁOŚĆ PODOLA

W OSTATNICH czasach nastąpiło pewne ożywienie na terenie publicystyki, dotyczącej zagadnienia ruskiego oraz związanego z niem zagadnienia naszych kresów wschodnich. Zdaje się, że jesteśmy u początków dłuższego i systematycznego rozważania tych spraw, u początków tworzenia się w tej dziedzinie pewników politycznych. Na plan pierwszy wybija się tu ostatnia książka Dmowskiego, stawiająca zagadnienie w szerokiej perspektywie dziejowej oraz w perspektywie przyszłości. Podniet do zajęcia się temi sprawami dostarczają zarówno sami Ukraińcy oraz ich protektorowie, jak też i lansowane tu i owdzie pomysły sfer federalistycznych. Nawiązując tedy do tego ożywienia chciałbym się zająć jedynie pewnym wycinkiem sprawy, t. j. zagadnieniem Podola. Wogóle bowiem przypuszczam, że sprawy kresów wschodnich nie rozwiąże się, dyskutując o niej sumarycznie, traktując ją jako jednolite zagadnienie. Jeżeli gdzie tak modny dziś regjonalizm ma sens, to właśnie na terenie naszego wschodu. Kresy [1]) wschodnie, to zespół regjonów, różniących się bardzo silnie pomiędzy sobą pod względem etnicznym, kulturalnym, obyczajowym, religijnym, gospodarczym i politycznym. I to jest dotychczas niczem poważnie nie zachwiana rzeczywistość. Te to właśnie regjony chcą powiązać Ukraińcy w jeden organizm narodowy, osiągając, jakkolwiek nawet może poważne, to jednak przemijające rezultaty. Wydaje mi się tedy, że sprawę należy zarówno ze względów rzeczowych jak też i politycznych traktować regjonalnie, gdyż inaczej weszlibyśmy w sferę wpływów ukraińskich suggestyj, zdążających do skonsolidowania na naszym wschodzie nowej, nieistniejącej dotychczas jednostki narodowej. A trzeba sobie uświadomić, że Ukraińcy byłego zaboru austrjackiego mają bardzo wielkie apetyty, czego dowodzi stały ich protektorat nad zaczątkiem nacjonalizmu białoruskiego.

Że na naszym wschodzie mamy do czynienia z niebywałą szachownicą regjonów, tego najlepszym przykładem jest właśnie polskie Podole, bardzo szczęśliwie ujęte w zaraniu naszej niepodległości w formę osobnego województwa (tarnopolskiego). Istotą jednakże tego regjonalizmu Podola nie jest specjalny, przepiękny krajobraz podolski ani też to, że jest ono jednostką administracyjną. Istotą odrębności Podola jest bardzo poważny procent polskiej ludności w tej dzielnicy, największy ze wszystkich dzielnic kresowych. Liczba ludności polskiej jest tak poważna, że Podole można śmiało uważać za zaczątek izolowanej polskiej wyspy etnograficznej, ciągle się konsolidującej na kształt wyspy wileńskiej. Wedle spisu z roku 1921 na miljon czterysta trzydzieści tysięcy mieszkańców województwa tarnopolskiego naliczono sześćset trzydzieści cztery tysiące Polaków, t. j. 44,3%. Nawet gdyby przyjąć bardzo pesymistyczny rachunek, t.j. przyjąć, że ilość elementu polskiego reprezentuje tam jedynie 33% ludności rzymsko-katolickiej, to i tak jest to tak poważna liczba, że może stanowić pozycję w naszym rachunku politycznym. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że liczba Polaków na Podolu jest wyższa, aniżeli liczba rzymskich-katolików. Polityczna waga polskiej ludności podolskiej okazała się bardzo wymownie w czasie walk polsko-ukraińskich oraz w czasie trwania t. zw. zachodnio-ukraińskiej republiki. Ludność polska nie zdobyła się wprawdzie wtedy na samodzielną akcję zbrojną, nie mniej jednakże jej wroga postawa, nieprzejednane trwanie przy polskości oraz zdecydowany bierny opór kosztowały Ukraińców kto wie czy nie więcej, niż obrona Lwowa. To, że

[1]) Pisałem już raz na ten temat w artykule, zatytułowanym „Nauka o Polsce na kresach wschodnich" w 2-gim zeszycie „Oświaty Pozaszkolnej" rok 1922, str. 379—384.

urzędnicy Polacy mogli zbojkotować organizujące się państwo ukraińskie, odmówić mu swej pracy i doświadczenia, mogło się stać tylko dlatego, że mieli oparcie w półmiljonowej masie współziomków. A przecież fakt ten zadecydował o anarchji, tak charakterystycznej dla republiki ukraińskiej. Jedynie na Podolu do ostatniej chwili nie mogli się Ukraińcy odważyć na pobór przymusowy do wojska ludności polskiej, czyniąc to dalej na zachód od Podola. A kiedy, po przyjściu pierwszych posiłków wielkopolskich około Wielkiejnocy 1919 r., zapanował w ukraińskich sferach decydujących strach i popłoch, wtedy dopiero chciano przystąpić do poboru podolskich Polaków. Rezultatem tej chęci było przeniesienie się całej polskiej młodzieży w lasy. Nie pomogły obławy i odkomenderowanie poważnych oddziałów z frontu. Podole zresztą odciągało z frontu przez cały ciąg wojny bardzo poważne siły. Nie ulega wątpliwości, że także duża ilość ludności polskiej na Podolu była przyczyną umieszczenia stolicy całego ruchu w Stanisławowie, jakkolwiek Tarnopol był lepszem miejscem na stolicę zarówno ze względów wojskowych jak też politycznych. Przecież Tarnopol był dalej od frontu i leży bliżej Ukrainy i Wołynia. Być może wprawdzie, że chodziło tu o ułatwienie sobie komunikacji z Wiedniem i germanofilskiemi Węgrami, ale zapewne działała tu również obawa przed liczną ludnością polską.

Niesłychany terror, internowanie licznych tysięcy inteligencji i ludu polskiego nietylko nie złamało postawy ludności polskiej na Podolu, ale postawiło ją, w stu procentach, przeciw Ukrainie. W rezultacie tych prześladowań cała dosłownie młodzież polska z Podola wycofała się z polskiemi wojskami, kiedy Ukraińcy po raz drugi opanowali Podole. Na nieszczęście dowództwo frontu ani też władze etapowe nie zdołały materjału tego, ze względów ideowych bardzo cennego, wcielić w całości do szeregów, jakkolwiek ochoty mu nie zbywało. Mimo to dostarczyli ci uchodźcy poważnego uzupełnienia walczącej armji polskiej. Naogół jednak te i inne jeszcze zapewne przejawy wagi polskiego elementu na Podolu w naszej niedawnej historji nie są zupełnie uświadomione. A przecież nie jest to też przypadkiem, że akcja sabotażowa rozgrywa się przedewszystkiem na zachód od Podola. Działa tu napewno ten sam moment, który stanowił tak poważną siłę dywersyjną dla Ukraińców za czasów walk polsko-ruskich.

Oczywiście, znaczenie polskiej ludności podolskiej nie skończyło się. Przeciwnie, dopiero po uzyskaniu niepodległości państwowej można obecnie wyzyskać Podolaków dla powiększenia polskiego terytorjum etnograficznego. Celem polskiej polityki państwowej i narodowej na najbliższy okres powinno być **utworzenie z Podola polskiej etnograficznie połaci na naszem południowo-wschodniem pograniczu.** Chodzi tu tylko przecież o poparcie zarysowujących się biologiczno-etnicznych tendencyj, panujących na Podolu. Tendencje te zaś są dla żywiołu polskiego byłej Wschodniej Galicji bardzo optymistyczne. Wedle bowiem przeliczeń Instytutu Geograficznego we Lwowie największy wzrost ilościowy wykazuje ludność rzymsko-katolicka. Tendencje ilustruje poniżej zamieszczone zestawienie (Weinfeld I. „Rocznik Polski“, wyd. II. Warszawa. 1922, str. 13. — W zestawieniu są uwzględnione tylko powiaty z terytorjum sądu apelacyjnego we Lwowie):

Wyznania (1857 — 1921).

Rok 1857 = 1000	Wyznanie		
	rzymsko-katolickie	grecko-katolickie	starozokonne
1857	1000	1000	1000
1880	1314	1210	1522
1890	1503	1344	1724
1900	1743	1500	1822
1910	2080	1635	1940
1921	2430	1518	1921

Ten stały i konsekwentny wzrost ilościowy Polaków jest rezultatem, jak to słusznie podnosi prof. St. Pawłowski (St. Pawłowski, „Ludność rzymsko-katolicka w polsko-ruskiej części Galicji“. Prace geograficzne, z. III. Lwów 1919, str. 40 — 41), większego przyrostu rzeczywistego rzymskich katolików w porównaniu z ludnością grecko-katolicką, w mniejszej zaś daleko mierze imigracji ludności rzymsko-katolickiej z zachodu. Mniejszy przyrost ruskiej, grecko-katolickiej ludności położyć należy na karb rozpowszechniania się wśród niej radykalnych i religijnie wolnomyślicielskich prądów. Rezultaty tych suggestyj można stwierdzać całkiem konkretnie u poszczególnych włościan. Osobiście przecie zostałem o tem zjawisku uświadomiony przez znajomych włościan ruskich z radykalnych kół. Prądy te potęguje i wzmacnia obecnie szeroki kontakt z anglosaską Kanadą oraz silniejsza, aniżeli u ludności polskiej, podatność na agitację bolszewicką. Nastrojów tych nie może opanować kler grecko-katolicki z bardzo rozmaitych powodów; na rozstrząsanie zaś ich nie tu miejsce. Decydująco jednakże wpływa na wzrost rzymskich katolików rosnące uświadomienie religijne i narodowe. Wszystkie te przyczyny działają dalej i dziś, przy powiększonej na skutek warunków politycznych imigracji z terytorjów etnograficznie polskich.

Tendencje rozwojowe i ekspansywne polskiej ludności Podola są warunkowane bardzo starym jej autochtonizmem. W ciągu całych, prehistorycznych jeszcze dziejów Podole ulegało ciągle i systematycznie etnicznym wpływom zachodnim. Szereg uczonych, nawet niekoniecznie Polaków twierdzi, że zarówno Grody Czerwieńskie jak też Podole zamieszkałe było pierwotnie przez plemiona lechickie. Domniemani ci Lecheci ulegli naporowi ruskiemu, który znów był wynikiem ruchów i wędrówek, odbywających się na stepach eurazjatyckich na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia. Oprócz resztek starej lechickiej lub tylko zachodnio-słowiańskiej ludności, poważnego kontyngentu ludności polskiej dostarczają Podolu stale napływające fale osadników polskich z Polski. Pierwsza fala kolonizacyjna musiała się zapewne zaznaczyć za czasów obu Bolesławów. Mam wrażenie, że problem ten, ujęty odpowiedniemi metodami badawczemi, dałby bardzo ciekawe rezultaty. Przypuszczam bowiem, że nie jest przypadkowem największe zagęszczenie polskiej, rzymsko-katolickiej ludności właśnie wzdłuż południowo-wschodniej granicy państwa Chrobrego, począwszy od Dniestru, a skończywszy na Pogórzu lwowsko-tomaszowskiem. Następną falę

kolonizacji, idącą przedewszystkiem z przeludnionego Mazowsza, wywołały najazdy tatarskie. Fala ta, zaczynając się w połowie XIV-go stulecia, trwała do wybuchu wojen kozackich. Osadnicy ci zagospodarowują ziemie ruskie, przesycając je bardzo silnie elementem polskim. Wedle Białkowskiego (Dr. L. Białkowski, „Podole w XVI wieku", Warszawa, 1920, str. 7 — 18) w XVI-em stuleciu w powiatach zachodniego Podola szlachta zamożniejsza jest prawie w całości polską, mieszczanie w jednej czwartej, a kmiecie wykazują około 15% Polaków. Wojny kozackie, oraz wojny z Rakoczym, Tatarami i Turkami wyniszczają nietylko ludność polską ale wogóle całe zaludnienie Podola. Nic tedy dziwnego, że po pokoju karłowickim, na mocy którego Podole wróciło do Polski, rusza tam znowu masa polskich osadników ze wszystkich terytorjów polskich, z bardzo dużym, zdaje się, udziałem Wielkopolan. Był to bodaj najsilniejszy zastrzyk krwi polskiej. Niestety Polska chyliła się już ku upadkowi i nie mogła już zapewnić tej potężnej rzeszy polskiego ludu, bo ten przedewszystkiem tworzył kadry ostatniej fali osadniczej, potrzebnej pomocy w środkach kulturalnych i organizacyjnych, któreby były zdolne element polski skonsolidować i utrzymać przy polskości. Polska powoli traciła autorytet a także możliwość pracy. Utrata niepodległości przypieczętowała ostatecznie los elementu polskiego na Podolu. Zaczął on powoli wsiąkać w otaczającą go Ruś. Jedyną jego obronę stanowiły, aż do wystąpienia ruchu wszechpolskiego, nieliczne parafje rzymsko-katolickie.

Odpolszczenie przeważnej części ludności polskiej na Podolu zaszło było już tak daleko, że stworzony przez Austrjaków ruch ukraiński mógł wysunąć wcale sprytną tezę, iż Polacy rzymsko-katoliccy są Rusinami-łacinnikami. Na szczęście żywiołowy ruch wszechpolski, oparty o gigantyczną wprost pracę społeczno-polityczną jego wyznawców, dokonał całkowitego odrodzenia narodowego ludności polskiej na całym obszarze kresów południowo-wschodnich a przedewszystkiem na Podolu. Wprawdzie wojna, ukraińskie rządy i przewrót majowy przebieg tego odrodzenia zamąciły, rezultaty jego osłabiły nawet dość poważnie, nie mniej jednak Podolanie—to kapitał narodowy nie byle jaki. Przeciwności hartują ich, i obecnie, zasileni powojenną gromadą osadniczą, stają bodaj u początku nowego okresu ekspansji narodowej, przygotowują spolszczenie Podola.

Oczywiście jasne jest, że Podole, po skonsolidowaniu się w niem elementu polskiego i uformowaniu się podolskiej wyspy etnograficznej, posiadać będzie wielkie znaczenie polityczne nietylko dla polskich stosunków wewnętrznych. Wyspa taka zapewniłaby przedewszystkiem bardzo poważne korzyści na wypadek ewentualnego zatargu z Rosją czy też jakimkolwiek innym tworem państwowym za Zbruczem. Spolszczenie Podola podniesie oczywiście bardzo poważnie walory wojskowe naszej granicy nad Zbruczem. Stanie się to zarówno wtedy, jeśli na wschodzie będziemy mieli do czynienia z wielką Rosją, jak też przedewszystkiem na wypadek ewentualnego powstania jakiegokolwiek państwa ukraińskiego. Wtedy bowiem, oprócz momentu wojskowego, etnograficznie polskie Podole nie będzie tak pociągało sąsiedniej Ukrainy, gdyż sfery za Ukrainę odpowiedzialne obawiać się będą, że Podole stałoby się ośrodkiem irredenty polskiej, prowadzącej do anarchji państwowej, która dała się tak silnie we znaki krótkotrwałej zachodnio-ukraińskiej republice. Nasi federaliści powinniby sobie ten moment dokładnie uświadomić i wyciągnąć zeń odpowiednie wnioski. Jeśli zaś mowa o stosunkach wewnętrznych, nie trzeba zbyt bujnej wyobraźni politycznej, aby przewidzieć dodatnie strony wytworzenia polskiej wyspy podolskiej. Przecież wtedy oddzieliłoby się Wołyń od Zadniestrza, stawiając bardzo poważną tamę niebezpiecznym aspiracjom Ukraińców z austrjackiej szkoły.

Jakkolwiek na terenie Podola tendencja do polonizacji jest zjawiskiem naturalnem, biologicznem, to jednakże proces ten za długoby się ciągnął, gdybyśmy go zostawili samemu sobie. Polska, zarówno jako państwo jak też jako naród, musi się zdobyć na świadomy i zorganizowany wysiłek do osiągnięcia tego celu w możliwie najkrótszym czasie. Trudno w tej chwili i nie bardzo na miejscu wchodzić we wszystkie szczegóły akcji, która nie będzie przecie tak prostą i łatwą. Nie mniej już dzisiaj możnaby podkreślić kilka najniezbędniejszych postulatów oraz wysunąć kilka myśli.

Na pierwsze miejsce wysunąć należy postulat utrzymania dzisiejszego województwa tarnopolskiego. Nawet obecny kryzys i racjonalne przewidywania czasów jeszcze cięższych nie mogą być usprawiedliwieniem utopienia, obecnie już napół polskiego Podola, w wielkiem województwie lwowskiem o większości ruskiej. Przecież Niemcy utrzymują prowincję graniczną, złożoną jedynie ze skrawków dawnego zaboru pruskiego, aby realizować pewne cele polityczne. Możnaby zresztą, jeśli nie dziś, to może trochę później, powiększyć województwo tarnopolskie o okręg krzemieniecki, mniej więcej po linję Beresteczko — Ostróg. Powiększy to obszar województwa, czyniąc je mniej kosztownem. Krzemieniec zaś, ze swojemi polskiemi tradycjami, nie pogorszy zbytnio ustosunkowania etnicznego w województwie.

W ogromnej mierze zależeć będzie przyszły los Podola od pozycji kościoła rzymsko-katolickiego na jego terytorjum. Należy bardzo wydatnie pomnożyć ilość parafij i ekspozytur parafjalnych na Podolu. Materjału duszpasterskiego na skutek odrodzenia religijnego nie zbraknie. Chodzi tylko o zmobilizowanie środków, potrzebnych na budowę kościołów i plebanij, oraz na minimalne uposażenie parafij. Zgęszczenie sieci parafjalnej zadecyduje najsilniej o zwartości terytorjum podolskiego. Zastanowićby się także należało, czyby się nie udało utworzyć biskupstwa podolskiego. Miałoby ono, co prawda, słabe podstawy materjalne, ale nie jest to chyba najważniejsze.

Należy także w pełni odbudować przedwojenną pracę oświatową i narodowo-społeczną. Co więcej, należy ją spotęgować i dostosować do zmienionych warunków życiowych i politycznych, oraz do zakreślonego powyżej celu. Największą uwagę przytem należałoby zwrócić na szkolnictwo w tym sensie, aby zabezpieczyć dzieciom polskim polską a nie utrakwistyczną szkołę, oraz Polaka nauczyciela. Należałoby zorganizować kilka silnych i żywotnych ośrodków miejskich, któreby promieniowały na zewnątrz i konsolidowały okoliczne terytorjum. Na takie ośrodki nadają się Czortków, Tarnopol, Brzeżany i Złoczów. Trudno jednak będzie np. Brzeżanom utrzymać się na odpowiednim poziomie, gdy im się zabierze sąd okręgowy, jak to jest podobno w projekcie.

W dziedzinie gospodarczej najpilniejszym postulatem byłoby przeprowadzenie zasady, aby przy parcelacji polskie majątki przechodziły w ręce chłopów Polaków, bądź to miejscowych, bądź też pochodzących z zachodu. Pozatem należałoby stworzyć możliwości zainstalowania pewnej ilości imigrantów z zachodnich dzielnic Polski, także z poza sfer rolniczych.

Oczywiście, zrealizować powyższy cel może jedynie zorganizowana wielka akcja, poparta przez całą Polskę. Zdaję sobie sprawę z tego, że zrealizowanie nakreślonego celu nie będzie należało do zadań łatwych. Jest bowiem ten cel sam w sobie trudny, a i chwila obecna jest, jak wiadomo, ciężka. Słabszą jednak mieli pozycję starzy wszechpolacy, kiedy lat temu kilkadziesiąt, wbrew Austrji i wbrew stojącym za nią Niemcom, oraz w walce z Ukraińcami i rządzącymi w imieniu Austrji konserwatystami krakowskimi, przywrócili polskości powyżej półmiljona straconych — zdawało się — „łacinników“.

KAROL STOJANOWSKI

U PODSTAW

(Z POWODU OSTATNIEJ KSIĄŻKI KAROLA MAURRAS'A)

WIELU ludzi sądzi, że dla polityka praktycznego zasady są ciężarem, przeszkadzającym mu w jego działalności. Gdy się obserwuje współczesną politykę, gdy się widzi ludzi bez skrupułów i bez idei, którzy zajmują bardzo wybitne stanowiska i oddziaływają w sposób decydujący na losy państw i narodów, rzeczywiście wydaje się nieraz, że zasady są zbyteczne, że krępują i hamują w życiu codziennem.

A jednak! A jednak niepodobna zrozumieć polityki dnia dzisiejszego bez znajomości źródeł ideowych, z których ta polityka się wywodzi. Nie trzeba wcale być filozofem, ani socjologiem, by być uzależnionym od podstawowych pojęć i poglądów. Człowiek wyrasta w pewnej „atmosferze“ ideowej i moralnej, człowiek polityczny, jeśli chce oddziałać na swoich współczesnych, musi się stosować do „atmosfery“, w której żyją, do podstawowych ich nałogów i przyzwyczajeń umysłowych moralnych. Historja nas uczy, że pewne kształty polityki praktycznej były zawsze nierozdzielnie związane z pewnemi zasadami i z pewnemi ideami podstawowemi. To też ci, co walczyli skutecznie z przestarzałemi dążeniami czy metodami politycznemi, musieli zawsze sięgać do „pryncypjów“ i zwalczać błędy polityki praktycznej uderzając w podstawy, z których błędy te wyrastały.

Myśli powyższe nasunęła nam ostatnia książka Karola Maurras'a — *„Au signe de Flore“*, będąca jego pamiętnikiem politycznym z lat 1898 — 1900, w których to latach skrystalizował się ruch nacjonalistyczny we Francji. Wówczas poprzez sprawę Dreyfusa zwyciężyły w życiu politycznem Francji ostatecznie te zasady, na których dziś opiera się polityka francuska. Nie zrozumie też nikt polityki współczesnej Francji, nie zda sobie sprawy z przeciwieństw, jakie istnieją między życiem narodu francuskiego, a jego polityką zewnętrzną, kto nie wie, jak doniosłą rolę w życiu Francji odegrały wypadki lat 1897 — 1900, które niegdyś ojciec komunizmu francuskiego, Georges Sorel, nazwał „rewolucją dreyfusowską“. Treścią walki, jaka się rozpętała we Francji około osoby Dreyfusa, nie było wcale zagadnienie jego winy czy niewinności, lecz starcie dwóch światopoglądów. Broniąc niewinności kap. Dreyfusa, zwalczano armję i zasady „dawnego“ porządku rzeczy; stojąc w obozie przeciwnym, powoływano się na „pryncypja“, będące podstawą życia Francji w ciągu tysiąclecia. Zwycięstwo *„dreyfusów“* było zwycięstwem ostatecznem idej, które przyświecały Wielkiej Rewolucji francuskiej, było zakończeniem cyklu, rozpoczętego w roku 1789. Od uwolnienia kapitana Dreyfusa datuje się nieograniczone panowanie zasad, na których dziś opiera się urzędowa polityka francuska. Z drugiej strony, pod wrażeniem przebiegu i następstw „rewolucji dreyfusowskiej“ w pewnych kołach ówczesnego młodego pokolenia francuskiego zaczęła się organizować reakcja przeciwko ideologji Wielkiej Rewolucji. Wówczas to położone zostały fundamenty pod prąd ideowy nowoczesnego nacjonalizmu francuskiego.

Dwóch ludzi stało u jego kolebki — nieżyjący już dziś Henri Vaugeois i szef dzisiejszy ruchu, skupiającego się koło pisma *„L'Action Française“* — Karol Maurras. Różnie można sądzić działalność i politykę monarchistów francuskich; nie zamierzamy się tutaj zajmować temi zagadnieniami. Książka, o której tu piszemy, zajmuje się podstawowemi ideami nowego prądu, autor przedstawia je i uzasadnia, opowiadając, jak się rodziły i krystalizowały w umysłach pewnej grupy ludzi jego pokolenia, jak się przyoblekały w kształty organizacji, jak rodziły czyn i prąd ideowy.

Oglądanie zaś nowoczesnego prądu ideowego, który dziś, po trzydziestu latach, zatacza już szerokie kręgi wśród tylu narodów, a we Włoszech trzyma ster państwa w swem ręku, w stanie pierwotnym, *in statu nascendi*, pozwala pomijać rzeczy uboczne, zagadnienia drugorzędne, dopływy postronne, a dostrzegać natomiast to, co w tym prądzie jest istotnego i trwałego, co wśród chaosu, jaki ogarnął cały świat cywilizacji zachodniej, stanowi dziś jedyną podstawę stałą i nienaruszoną, na której można organizować myśl ludzi Zachodu. A przecież ład w umysłach i w uczuciach musi poprzedzać odbudowanie porządku w życiu gospodarczem, społecznem i politycznem.

Maurras po mistrzowsku przeciwstawia dwa światopoglądy i, poddając krytyce mglistą ideologję Wielkiej Rewolucji, wykazuje związek między doktryną nacjonalizmu, a tysiącletniem doświadczeniem ludzkości. Do książki wcielił Maurras niezrównaną wprost rozprawkę, napisaną w ostatnich latach wieku XIX: *„Les Monod peints par eux-même“*, rozprawkę, będącą „historją naturalną“ osiedlenia się we Francji i opanowania szeregu funkcyj publicznych przez szwajcarską rodzinę Monod, która rozkładającej się myśli francuskiej narzuciła swój sposób myślenia... Z naukową wprost dokładnością, patrząc na życie ludzkie okiem przyrodnika, z niesłychaną przenikliwością i ścisłością przedstawia Maurras stan społeczny i umysłowy Francji z końca XIX-go wieku.

To też czytelnik, zamykając pamiętnik wielkiego pisarza, spogląda innem okiem na życie polityczne Francji współczesnej. Złudzenia „genewskie“, wiara w ducha „lokarneńskiego“ i pacyfizm p. Brianda, słowem wszystkie idee, wyłaniające się z mgieł, unoszących się nad polityką powojenną państw zwycięskich, z tych samych mgieł, które przysłaniają naiwną politykę potentatów finansowych świata współczesnego — wszystko to staje się zrozumiałe w świetle wydarzeń i walk ideowych, odbywających się we Francji na przełomie dwóch stuleci.

Książka Maurrasa ułatwia nietylko zrozumienie życia duchowego i politycznego Francji współczesnej. Jest ona użytecznym przewodnikiem po drogach myśli u wszystkich narodów cywilizacji zachodniej. Stąd jej aktualność także dla nas.

Mam to przeświadczenie, że warunkiem pierwszym tego, by Polska wyszła z chaosu politycznego, w jakim dziś żyje, jest wprowadzenie ładu w umysłach inteligencji naszego kraju. Tylko na mocnych podstawach ideowych można zbudować prądy społeczne i polityczne, prowadzące ku odrodzeniu. Młode pokolenie polskie musi sobie zdać sprawę z tego, że nie da się uniknąć zmierzenia się (pracowitego i ofiarnego) z wielkiemi zagadnieniami w dziedzinie myśli, że bez przeżycia ich i przerobienia we własnych mózgach nie da się osiągnąć rezultatów w polityce praktycznej i w życiu codziennem. Książka Maurrasa jest wiernym i pięknym pamiętnikiem takiego wzięcia się za bary umysłów silnych i sprawnych z rzeczywistością i z tajemnicami bytu ludzkiego.

STANISŁAW KOZICKI

CZY NAPRAWDĘ ROZWIĄZANIE ZAGADKI?

(JESZCZE O T. ZW. PROROCTWIE X. MARKA)

BIORĄC się do egzegezy tajemniczego utworu, zwanego „Proroctwem X. Marka“, rozumieliśmy — filologowie — oczywiście odrazu, że do chóru potrzebny jest tu nieodzownie głos także historyka. Jakżeż! Wiersz polityczny z przed 170 lat, pełen mglistych aluzyj do wypadków historycznych i do owoczesnej konfiguracji państw europejskich, proroctwo, które, choć wybiega w przyszłość, ma przecież początkowy punkt oparcia w teraźniejszości owoczesnej; któż w niem pochwyci owo tempo aktualności, które rozwiąże zagadkowe napomknienia, jeżeli nie historyk! Filolog dociekać będzie rodowodu ich formy zewnętrznej, ich szaty literackiej, pokusi się o określenie jej rodzaju i — ile możności — źródeł; do uchwycenia zadzierzgnięć z rzeczywistością dziejową nie przyzna sobie kompetencyj. To też z największą radością przyjmujemy pomoc, przychodzącą nam tu ze strony najkompetentniejszej, od historyka epoki, monografisty Konfederacji Barskiej, prof. W. Konopczyńskiego. Dokonaną przez niego interpretację poematu czytaliśmy właśnie na kartach „Myśli Narodowej“ (№ 47).

Interpretacja ta przynosi rzeczywiście bardzo wiele. Autor ustala czas powstania utworu, rozwiązuje jego prorocką symbolikę, wykrywa zatem sens właściwy całości, stara się wreszcie rozwiązać zagadkę jego autorstwa, najpierw negatywnie odsądzając od niego X. Marka, potem pozytywnie, przypisując je krakowskiemu kapelanowi Konfederacji X. Garlickiemu. Zwłaszcza wykład sensu uważa autor za definitywny, ustalony „z całą pewnością“ i za pełny, „wyczerpujący cały krąg myśli autora“. Wygląda to więc na całkowite rozwiązanie tyloletniej zagadki, na zamknięcie sprawy.

Ale egzegeza proroctw to rzecz trudna: zasłonę z oblicza Prawdy rzadko się udaje uchylić naraz i całkowicie. To też tuszyć wolno, że i o wspomnianem rozwiązaniu pożytecznie będzie trochę jeszcze porozmawiać. Zawarty w niem wykład zjawiska literackiego można będzie włączyć w szereg ustaleń definitywnych dopiero wtedy, gdy obejrzany ze wszystkich stron wykaże swą stosowność bez ważniejszych zastrzeżeń. Uwagi poniższe wypłynęły z chęci podjęcia takiej rozmowy, może przecież nie czczej i niepotrzebnej.

Zacznijmy od autorstwa. Domysłu swego, że autorem „Proroctwa“ jest X. Garlicki, nie podaje prof. Konopczyński za pewnik, przyznaje, że przemawia za nim tylko „wielkie prawdobieństwo“. Wydaje się wszelako, że i to prawdopodobieństwo (przynajmniej dopóki go nowe nie poprą racje) przyjdzie bardzo a bardzo zredukować. Na czemżeż się nowy domysł opiera? Na pewnem wnioskowaniu, zwartem pozornie. „Proroctwo“ jest poematem politycznym, wyśpiewanym w charakterystycznej tonacji austrofilskiej, autor jego był zwolennikiem orjentacji austrjackiej, no i był poetą. Jużcić, X. Garlicki był takim zwolennikiem i to bardzo zdecydowanym; wszystko, co historyk mówi o linji wytycznej jego działalności, jest wyraźne i pewne. Tylko że — widzimy równocześnie — w tej orjentacji swej nie był on odosobniony; „przebłyskiwała“ ona „jeszcze pierwszym spiskowcom przed Barem“ długi ma żywot w samych dziejach Konfederacji. Byłoby zbyt ryzykowne twierdzić, że orjentacja ta miała tylko jednego barda.

To też wniosek prof. Konopczyńskiego opiera się w swym punkcie ciężkości na innej przesłance. Autor znalazł w dokumentach stwierdzenie, że wiosną 1771 r. major niemiecki zaaresztował w Bojanowie X. Garlickiego, usiłującego tam drukować „kazania i książeczki do nabożeństwa, sławiące konfederatów“. Taka konfederacka książeczka do nabożeństwa zachowała się jedna z w. XVIII; zawiera ona cały szereg pieśni nabożnych, związanych z tamczesnemi wypadkami. Prof. Konopczyński przyjmuje milcząco za fakt niewątpliwy, że X. Garlicki był pieśni tych — autorem. Był więc poetą. Dowiadujemy się nawet, że miał szczególniejszą „wiarę we własne poetyckie posłannictwo“. Do tezy, że mógł być autorem proroczego poematu w tonacji austrofilskiej, wiedzie stąd most „prawdopodobieństwa“ wcale mocny i szeroki.

Tylko że ów wniosek podstawowy wydaje się conajmniej za pospieszny. Przypuszczenie, że X. Garlicki (jeżeli nawet rzeczywiście dochowana „Książeczka“ wyszła z jego rąk) był autorem zamieszczonych tam poezyj, bynajmniej, ale to bynajmniej, nie wydaje się „murowane“. Nic nie wyklucza, że wydawca był tam raczej zbieraczem utworów cudzych; w taki sposób od wieków powstają ksią-

żeczki do nabożeństwa. Z wszystkich danych, jakie prof. Konopczyński zdołał zebrać o X. Garlickim, widzimy, że był on rzutkim agitatorem, płomiennym kaznodzieją, podobnoś nawet „cudotwórcą“, ale o tem, żeby był poetą, nie słyszymy nic a nic; nie wspomina o tem ani jeden dokument, ani jedna wieść tradycyjna. Teza, że był on autorem tego czy owego utworu z poezji barskiej, wymaga całkowicie dowodu; jak dotąd nie jest ona absolutnie niczem poparta. Tego, że był autorem „Proroctwa X. Marka“, dowieść by należało — rozumie się — tembardziej *ab integro*. Jako ostatecznie decydujący argument przeciwko autorstwu X. Marka wysunął był prof Konopczyński wzgląd, że nic nie wiadomo, jakoby był on poetą, by dobrał w życiu choć dwa rymy. To też nie weźmie nam za złe, że dopóki przynajmniej dwóch rymów X. Garlickiego nie zobaczymy na własne oczy, dopóty do przypuszczenia, że był autorem „Proroctwa“, odnosić się będziemy z całym sceptycyzmem.

Teraz chronologja „Proroctwa“. Jak wiadomo, jedna z jego redakcyj z w. XVIII ma w tytule wskazówkę, że utwór był napisany w r. 1763, za ostatniego bezkrólewia. Prof. Konopczyński wskazówce tej nie wierzy; przyjmuje, że jest to mistyfikacja wydawców tej redakcji, ogłoszonej za Sejmu Czteroletniego przez kogoś z obozu twórców konstytucji 3 Maja.

I ten dogmat wzbudzić musi poważną wątpliwość. Bo najpierw, — wiemy z materjału, zebranego w dziele prof. Ujejskiego („Dzieje polskiego mesjanizmu“, str. 57), że właśnie około r. 1786 pamięć „Proroctwa“ była żywa i że wiązano je wyraźnie z nazwiskiem X. Marka jako autora. Czyżby roztropnie było podrabiać datę w utworze znanym i mającym już ustalony w tradycji związek z kapelanem Konfederacji; kogóżby taka mistyfikacja miała zwodzić? Czy więc nie słuszniej przyjąć, że data wiersza 1763 r. opiera się na jakimś dawnym przekazie tekstu? A powtóre, czemużby zmyślano właśnie rok 1763! Prof. Konopczyński przypuszcza, że w oczach „patrjotów“ Sejmu Czteroletniego rok ten ostatniego bezkrólewia uchodził za *origo malorum*, początek udręczeń i burzy, a więc „moment najwłaściwszy na wystąpienie proroka“. Ale to niczego nie dowodzi, boć przecież dla wydawców „Proroctwa“, drukujących utwór około r. 1790, nie wizja początków zła była najwyższą wartością wieszczby, ale właśnie bijąca z wierszy kaskada optymizmu patrjotyczno-religijnego. Pocóż ten specjalny nacisk na *origo malorum*. Zresztą przedruk z właściwą datą (gdyby on był rzeczywiście z tej daty) byłby pożądańszy chyba dla wydawców, byłby w pewnym sensie zaszachowaniem przeciwników, wśród których znaleźlibyśmy niejednego z dawnych konfederatów.

Ale ostatecznie rzućmy te zastrzeżenia, rodem — bądź co bądź — z „widzi mi się“; należą one do arsenału tych sporów słownych, w których „nigdy niemasz końca“. Przejdźmy do twierdzeń pozytywnych.

Do ustalenia daty „Proroctwa“ na rok 1769 (jeśli nie późniejszy) dochodzi prof. Konopczyński w ten sposób. Bierze pod uwagę ze zbioru Kolbuszewskiego wiersz inny, „Tekst kabalistyczny o konfederatach“ i stwierdza, że między nim a między „Proroctwem X. Marka“ zachodzi wyraźne pokrewieństwo i to zarówno w symbolice poetyckiej, jak i „w rozważaniach nad konjunkturą polityczną“. Na pokrewieństwo to spogląda historyk „przez okulary — filologa“. Zanim ocenimy trafność tego spojrzenia i właściwy wybór okularów, niech wolno będzie uczynić tu uwagę uboczną.

Prof. Konopczyński nie godzi się z interpretacją (uczynioną właśnie przez niżej podpisanego), że w „Proroctwie“ niema śladów orjentacji antytureckiej, jest tylko antytatarska. Owszem, sądzi on, że utwór zwraca się przeciwko Porcie, zapowiada wyraźnie jej zgubę (ona to utraci „prawo wraz z państwem“, odbierze się jej Palestynę); wyjaśnia też historyk, że właśnie w r. 1769 wyraźnie występowały wśród konfederatów objawy rozczarowania i niechęci wobec Turcji. Ale jeśli zarazem widzi on pokrewieństwo między „Proroctwem“ a „Tekstem kabalistycznym“, i to pokrewieństwo w poglądach na konjunkturę polityczną, to cóż mamy począć z faktem, że „Tekst“ ma orjentację jawnie filoturecką, spodziewanej pomocy tureckiej przypisuje rolę decydującą w obrocie wypadków na korzyść Polski. Czytamy więc tam, że

> miesiąc dwurogi
> Nocnych błędów trzymając cienie,
> Ojczyznę upadłą postawi na nogi.

Pod koniec zaś jeszcze wyraźniej, że polskiego Feniksa

> Będzie popierać mocarstwo od Wschodu,
> Z Południem trzymając pospołu
> Ligę...

Jakżeż więc ma być z tą antytureckością „pokrewnego“ Tekstowi „Proroctwa“? Jest tam również, czy jej niema? Ale mniejsza o to. Wróćmy do okularów filologa.

Z zauważonego pokrewieństwa między oboma utworami wyciąga prof. Konopczyński ważny wniosek. „Tekst kabalistyczny“ jest utworem artystycznie marnym, „Proroctwo“ doskonałym.

Dla historyka, zbrojnego w okulary filologa, dosyć tego, by przyjąć, że „Tekst“ jest pierwszą, niedołężną próbą literackiego ujęcia pewnej treści politycznej, jest wcześniejszy, a „Proroctwo“ jest „doskonałą przeróbką“ tamtej próby, jest utworem chronologicznie późniejszym. „Chyba samo to zestawienie wystarcza, — pisze on wyraźnie, — „aby określić stosunek „Tekstu“ do „Proroctwa“, jako stosunek próby do skończonego dzieła, a nie naodwrót“. Ponieważ zatem data „Tekstu kabalistycznego“ da się określić wcale dokładnie na lipiec lub początek sierpnia 1768 r., wniosek stąd prosty, że „Proroctwo“ jest późniejsze, że odnieść je musimy co najmniej do r. 1769.

Cóż, kiedy o tej wycieczce filologicznej nie możemy powiedzieć, żeby była udana. Iść należało w stronę właśnie wręcz przeciwną. Przecież kierując się taką jak powyższa zasadą, możnaby wnioskować w ten sposób: Między „Dziadów cz. III“ a „Dziejami Wacława“ zachodzi pokrewieństwo oczywiste. „Dzieje Wacława“ są utworem słabym, „Dziady“ arcydziełem. Wniosek stąd prosty, że „Wacław“ Garczyńskiego powstał wcześniej i ma się do „Dziadów“ jak „niedołężna próba“ do „doskonałej przeróbki“, a nie naodwrót. Tymczasem — nic podobnego! Nie, dla filologa stwierdzenie takiego stosunku pokrewieństwa musi być dowodem czegoś wręcz przeciwnego temu, co tu twierdzi historyk. Utwór literacki doskonały jest wcześniejszy, jest pierwowzorem, a utwór słabszy jest nieudanem naśladownictwem; w tworach ducha olbrzymy wyprzedzają karłów. Jeżeli więc „Tekst kabalistyczny“ pochodzi z lipca 1768 r., to powiedzieć

można śmiało *a priori*, że „Proroctwo X. Marka“ jest utworem chronologicznie wcześniejszym, o wiązaniu go z r. 1769 nie może być mowy.

Takie twierdzenie aprjoryczne da się poprzeć dowodem *ad oculos*. Ze zbioru Kolbuszewskiego wyjmiemy w tym celu inny jeszcze utwór konfederacki, dla nas tutaj szczególnie doniosły. Jest to „Lamentacja Jeremjasza nad Krakowem”. I ten wiersz pochodzi z r. 1768, powstał — jak tego dowodzi najoczywiściej jego treść — wnet po upadku Krakowa (17 sierpnia); poeta przeklina zdrajców, którzy się stali tego przyczyną i lamentuje nad ciężką dolą miasta splondrowanego i uciśnionej ojczyzny. Otóż w utworze tym mamy już nie pokrewieństwo, ale wprost zapożyczenie się, powołanie się na „Proroctwo X. Marka“. Biada więc „Jeremjasz” nowy:

> Spełniły się p r o r o c k i e nad Krakowem słowa:
> ..kościoły się boskie w stajnie obróciły...
> Zakonnych panien czystość już sprofanowana...

Nie ma dwóch zdań, że wspomina się tu zapowiedzi „Proroctwa“:

> Kościoły z ozdób swych zdarte zostaną...
> Wstyd poświęcony Bogu panna straci...

Czegóż to dowodzi? Ano tego, że autor „Lamentacji“, znał już „Proroctwo X. Marka“, a więc że utwór ten był latem 1768 r. popularny wśród konfederatów, żadną miarą nie może pochodzić z czasu późniejszego. Jeżeli się zaś weźmie pod uwagę, że w ciągu paru miesięcy od zawiązania się Konfederacji do sierpnia 1768 r. wiersz nie mógłby chyba powstać i tak szeroko się upowszechnić, — nie będzie może lekkomyślnością powrócić znowu do świadectwa z w. XVIII i pozostać już przy tem, że „Proroctwo“ pochodzi z r. 1763.

Oprócz próby ustalenia autorstwa i chronologji, rozprawa prof. Konopczyńskiego przynosi interpretację symbolów proroczych utworu, takich jak: kogut, strzelec, róża (czy rosa); tłumaczy, że oznaczają one Francję, może Prusy (a może Tatarów), może Rosję i t. d. Do interpretacji astrologicznej, jakiej się tu domyślał prof. Ujejski, do filologicznej, jaką proponował niżej podpisany[1]), dochodzi w ten sposób nowa, polityczna, niewątpliwie mająca za sobą duże prawdopodobieństwo i uzasadnienie, a z tamtemi niekoniecznie się wykluczająca, choć jej autor uważa ją za „jedynie racjonalną“. Sądzić wszelako wolno, że przeprowadzona ninie korektura chronologiczna musi spowodować do pewnego stopnia także rewizję samej tej interpretacji. Ale już się tutaj w te sprawy wdawać nie będziemy. Autor ma swą interpretację także za „wyczerpującą cały krąg myśli“ utworu. Możnaby się na to zgodzić z dwoma zastrzeżeniami. Najpierw — myśli politycznej tylko, bo po interpretację elementów i horyzontów mesjanicznych „Proroctwa“ musi czytelnik sięgnąć gdzieindziej. Powtóre zaś i w obrębie tej myśli politycznej wskazaćby można pewne niedomówienia. Coby np. miał konkretnie znaczyć zwrot:

> Chytrzy sąsiedzi ciebie twoi zdradzą
> I z jednym wielkim mocarzem powadzą,
> Stąd strasznych wojen pcwstaną turnieje, —

o jakiego to mocarza tutaj chodzi i co to za sąsiedzi, tego się z rozprawy prof. Konopczyńskiego nie dowiadujemy.

Dość tego, co się tu rzekło, aby się przekonać, że nad zupełnem wyjaśnieniem tajemniczego „Proroctwa“ będziemy się musieli trochę jeszcze pomozolić. Nie należy wątpić, że zagadka, choć może nie naraz, wspólnem usiłowaniem da się kiedyś wreszcie rozwiązać całkowicie.

STANISŁAW PIGOŃ

[1]) W wileńskiej „Księdze Wergiljuszowej“ (1930). Starano się tam powiązać nasz utwór z kręgiem wyobrażeń nie „Eneidy“, jak informuje prof. K., ale czwartej eklogi Wergilego.

MASZYNY DO MIESZKANIA

(WOJNA Z CHAMEM, III)

NIEMA głupstwa, któreby, gdy się rozgada, samo siebie nie określiło celnie i dosadnie. A że każde głupstwo ma niezwalczoną skłonność do gadania, więc trzeba tylko dobrej chwili wyczekać, ażeby samo siebie własnoręcznym stwierdziło podpisem. Stało się to według reguły z architekturą „nowoczesnych zaprojektowań“. Zwolennicy jej do wielu głupstw się dogadali, co dzielnie i źródła jej i cele ujawniło, aż nareszcie, przytoczony w broszurze p. J. G. Pawlikowskiego, Le Corbusier palnął genjalne określenie, cały charakter tej architektury w dwóch słowach streszczające: „Dom jest maszyną do mieszkania“. Autor broszury trafny wybór uczynił, gdy w szeregu poglądowo zestawionych fotografij, obok dworów w stylu zakopiańskim podając budowane w Zakopanem domy „nowoczesne“, tą właśnie opatrzył je nazwą syntetyczną: — „maszyny do mieszkania“. Samo naoczne porównanie obu szeregów budownictwa wystarczyćby mogło do rewolucji przeciw owym maszynom, gdyby obywatele Rzeczypospolitej mieli choć trochę temperamentu. Niestety, muszą się naprzód dobrze nagadać ludzie najchętniej milczący.

Dla nowej, surowej półinteligencji współczesnej ciśnienie cywilizacji wieku dwudziestego jest, widocznie, o wiele atmosfer za wysokie. Nie sięgając nawet odkryć naukowych, jak naprzykład w chemji, skąd otwierają się zawrotne na wszechświat perspektywy, sama dziedzina wynalazków praktycznych tak oszołomiła neofitów oświaty, że spłaszczyli się pod nią do równi wyświechtanej jezdni asfaltowej. Stali się przeto doskonałem podłożem dla szybkiej jazdy każdego materjalizmu — tak praktycznego w postaci karjer pięści, posad i pieniądza, jako też teoretycznego w postaci doktryn socjalizmu i masonerji. Nie potrwa to długo, bo każdy materjalizm sprowadza się do zasady użycia, a ta ma zawsze i w każdym kierunku krótką przed sobą metę. Ale tej mety może wystarczyć do zawalenia gruzami Polski powstającej. Z tego powodu wojna z Chamem i jego patryjarchatem w kraju naszym nabiera charakteru grozy, jakiej nie znają kraje o bezpieczniejszych granicach i budowie mocniejszej. Stąd też nie wolno nam lekceważyć żadnego odcinka tej wojny. Na każdym trzeba zwyciężać.

Zwolennicy i obrońcy maszyn do mieszkania, nie ci — z żydowskich lóż masonerji, ale ich sługi

z pod znaku żelbetowego, sami myśleć nie umieją, zaopatrzono ich przeto w fury piasku „ideowego“, aby go ludziom w oczy rzucali. Garścią takiego piasku jest pompatyczny „duch czasu“, występujący w roli twórcy wszechpotężnego, przed którym wszystko ukorzyć się musi. On to właśnie, „duch czasu”, tworzy maszyny do mieszkania. Suggestja tych dwóch słów oniemiająco działa na słuchaczów, a gdy przez scenę szopki przesunie się kukła trocinami wypchana w papierowej koronie, parterja drży, a galerja się poci. Śmieszni są ludzie, którzy tak potulnie poddają się formułkom magicznym, ze sceny ciskanym, ale o wiele śmieszniejsi aktorzy szopki nowoczesnej ze swoją wiarą w kuklane bóstwo, któremu rykiem własnych gardeł pomagają: „duch czasu”! Było dość sposobności i czasu na dokładne poznanie „ducha czasu” w malarstwie i rzeźbiarstwie judoformizmu oraz w poezji kryptożydowskiej. Wiemy, z jakiego oszustwa powstał i jak się rozwiał. Gdy jednak znów się zmaterjalizował, a kielnię do rąk otrzymał, ludziska znowu przed nim padają.

Bóżniczny gwałt reklamy, teoryj, idej i uzasadnień, jakim żydostwo maszyny mieszkaniowe otacza, jasno wskazuje na bety, w których narodził się ów maszynowy duch czasu. Jest niewątpliwy rodowód jego „po kądzieli“. Obaczmy teraz czem jest „po mieczu“. Ojcowskie rysy wszystkich w architekturze „nowoczesnych zaprojektowań“ są również niewątpliwe: od góry do dołu, wszerz i wzdłuż, w trzech wymiarach przestrzeni całkowite chamstwo geometryczne. Pod pozorem pozbycia się pstrokacizny i zdobin pasorzytniczych, istotnie szpecących kamienice miejskie drugiej połowy wieku XIX, ogołocono przytem budownictwo nowoczesne ze wszelkiego rdzennego zdobnictwa, pozostawiając gołe szkielety ścian, dziurami okien i drzwi, jak szrapnelami, poszarpanych. Pod pozorem siły żelbetu, który technicznie może sobie na wielkie płaskie rozpiętości pozwolić, usunięto łuki i najdrobniejsze zarysy sklepień, gzemsy, kolumny, pilastry, słupy i wszelkie wsporniki, otrzymując tem samem kształty ostre, kanciaste, niskie, ubogie i ordynarne. Pod pozorem największej hygjeny w dostępie światła i powietrza rozszerzono okna niemal do szerokości komnat, przez co dom upodobniono do wagonu pulmanowskiego. W tym samym celu wyrównano zrąb ze wszelkich załomów, wnęk i występów ściśle architektonicznych, czem ostatecznie dokonano grabieży domu, uczyniono zeń pudło na mięso ludzie, czyli spudlono go i zarazem spodlono.

Wszystkie wyliczone tu główne cechy „nowoczesnych zaprojektowań“ znamionują chamstwo, którego jedyną robotą jest niszczenie i odrzucanie. Nawet przez nadmierne i głupio jednostajne rozszerzenie okien zniszczono zacisze domu mieszkalnego, zamieniając go w fabrykę. Niema w owej reklamowej architekturze ani jednego wysiłku twórczego, ani jednego pomysłu nowego, ani jednego wyrazu duchowego. Jeżeli trafi się czasem coś z wyrazu i ducha, to jest — to kradzione (zwykle... zdaleka, a to w myśl aforyzmu: „żeń się blisko, kradnij daleko“). Trafi się ten i ów architekt, który poczuje okropną nudę i beztreść „nowoczesnych zaprojektowań“, więc biedak ratuje się pożyczkami ze starożytnych kultur Peru, Egiptu, lub Grecji pierwotnej, a w ostateczności... pasami tynku o różnych barwach, chcąc przynajmniej pędzlem oczy zamydlać. Ale to wszystko jest obce, bez sensu do pudeł doczepiane i bez sensu z żelbetu lepione. Pomimo to Wielki Cham dmie się i puszy, zestawiając swoją grubą i bezczelną goliznę z kamienicami ubiegłych dziesiątków lat, upstrzonemi w gipsatury, jak torty cukiernicze, i udającemi style. Jest się nad kogo wynosić! Dobrali się i są siebie godni obaj przeciwnicy. Ówczesne „style“ (w Polsce — swoiście warszawskie) były — Mojsze Barok i Srul Renesans, a teraz przybył do nich Josel Betonowy.

Techniczne możliwości żelbetu w zakresie jego wytrzymałości tak reklamową architekturę oszołomiły, że upatrzyła sobie w nich ducha czasu, co jej, zresztą, Josel podszepnął. W nowym materjale nową ujrzano epokę, lecz nie zwrócono uwagi na taki drobiazg, że do materjału potrzebny jest twórca. W zastępstwie tego braku zaczęto z architektury uprzątać wszystko, co tylko bez obawy o wywrócenie domu uprzątnąć się dało. Tym sposobem wyróżniono „styl i epokę“ swoją od poprzednich. Zostały maszyny do mieszkania, gołe szkielety na biało otynkowane, gładkie, puste, wiorstowe i wielopiętrowe. Niesłusznie ci i owi upatrują w tem coś w rodzaju powrotu do Odrodzenia. Tak, naprzykład, w ankiecie „Wierchów“ wspomniany przezemnie architekt krakowski p. Henryk Jasieński w doskonałej rozprawce swojej popełnia ten błąd, właśnie na nieuwzględnieniu wielkości gmachów i ich charakteru oparty. Podaje on, mianowicie, rysunek „starej kamieniczki na rynku w Kazimierzu“ i zapytuje: „1630 czy 1930?“. Ma to oznaczać, że kamieniczka owa jest bliźniaczo podobna do dzisiejszych „zaproiektowań“, bo lico jej również jest gładkie i wszelkich ozdób pozbawione. Ale kamieniczka ma dwa (niespełna) piętra i dwa okna szerokości, jest przeto naprawdę „kamieniczką“ — skromną i cichą. Dopiero rozdęta do czterech i ośmiu pięter i pięćdziesięciu okien wzdłuż, cyrklem odmierzonych, mogłaby upodobnić się do kazamat dzisiejszych, lecz wtedy znikłaby i „kamieniczka“ i wiek siedemnasty. Wiadomo, że stosunki wielkości (proporcje) mają pierwszorzędne w budownictwie znaczenie. Pozatem charakter okien i drzwi, różnorodność kształtu i wielkości okien na każdem piętrze, oraz różna odległość poziomu okien pomiędzy piętrami — nadają kamieniczce wyraz swoistego życia duchowego, którego nie posiadają kazamaty współczesne, mechanicznie równo we wszystkich kierunkach odmierzone, z gęstemi szeregami okien prostokątnych, wszędzie jednakich, fabrycznych, nudą bezduszności ziejących. Te same uwagi dotyczą polskich „pudełek renesansowych“ w porównaniu ich z obecnemi pudliskami. Tamte były ludzkie, a te są pudle. W porównaniach trzeba całości z całościami porównywać, albo części z odpowiedniemi częściami, a nie przedstawiać cząstki za całość, co dużym jest błędem logicznym (*pars pro toto*) i do potwornie mylnych wniosków prowadzi.

Jednak zarówno w wielkich kamienicach, jak i w małych domkach reklamowa architektura nowoczesna nie posiada ani jednego rysu twórczego. Wielkie możliwości techniczne żelbetu na nic się nie przydały, ujawniły tylko bezwzględną nicość wewnętrzną chamstwa, które je mechanicznie i bezmyślnie stosuje. Cała wynalazczość estetyczna, czyli duchowa owej sztuki nowej sprowadza się albo do kradzieży dawnych motywów poszczególnych, z czego wynika śmieszne pozerstwo, albo do pomysłów akrobatycznych, na które wytrzymałość

żelbetu pozwala, ale z architektury cyrkowe czyni łamańce. Tak naprzykład, modne są dziś w żelbecie króżganki narożne, rodzaj półkulistych wielkich balkonów, bez oparcia na dużej przestrzeni wiszących. Z boku wygląda to, jak ogromna rufa okrętu oceanicznego, gdy jednak rufa okrętu jest żebrowana, jawnie stalowa i wspiera się na własnym łagodnym spadku, który ją z okrętem łączy, tu w domu żelbetowym posiada spód płaski, na niczem się nie wspiera, a prócz tego kłamie bezczelnie, bo betonem udaje kamień, lub glinę, a wewnątrz ma stal ukrytą, która ją trzyma. Inny przykład z przed wojny światowej, ale z czasu, kiedy już chamstwo żelbetowe działać zaczynało, jest równie klasyczny. Wjadukt mostu Poniatowskiego w Warszawie posiada ogromne, o wielkiej rozpiętości arkady żelbetowe, które podtrzymują ciężar leżącej na nich ulicy. Warto zobaczyć, jak te arkady są pomyślane. Przerzucona od filaru do filaru łukiem pełnym, a cienkim, jak wstążka panieńska, każda z tych żelbetowych arkad trzyma na sobie sześć cienkich słupków różnej (zależnie od miejsca na łuku) wysokości, które z kolei podtrzymują grubą, ciężką warstwę ulicy. Wszystkie te podpory mają wewnątrz stal (naturalnie!), ale udają, że są gliniane, lub, conajwyżej, kamienne. Oto przykłady kłamstwa, na które oko i nerwy zmysłu mięśniowego gniewem się burzą w człowieku zdrowym i uczciwym.

Taka oto architektura — goła, pusta, nudna, ordynarna, kłamliwa i chora — w sposób urągliwy zgłasza uroszczenia swoje do wyparcia z Zakopanego dostojnego jego budownictwa rodzimego. A drogę toruje tu sobie sztucznie, siłą urzędów, nakazów i fałszów ideologicznych, na ciemnotę i nieodporność szerokiego ogółu obliczonych. W zanadrzu zaś chowa cele, nic ze sztuką nie mające wspólnego, polityczne cele międzynarodówki komunistycznej. W architekturze takiej urodzony i wychowany człowiek musiałby upodobnić się do bezmyślnej, społecznej pszczoły roboczej, pracującej na tych, którzy już dzisiaj w „Czerwonym Sztandarze“ podśpiewują domyślnie: „Trutniami wtedy będziem my!“ W najeździe swoim na wielkie miasta i osady fabryczne architektura ta ma sprzymierzeńca w biedzie i tłumności, dla których fabrykuje domy najtańsze i ryczałtowe. Pasorzytuje na tem, co jest chorobą czasów obecnych. Ale ambicje jej sięgają dalej — aż do uzdrowisk, bezpośrednio wspaniałą przyrodą otoczonych. Tu jednak społeczeństwo miejscowe, jako zdrowe, rzeźkie i z artyzmu nie wyzute, stawia opór złośliwej chorobie architektonicznej. Stąd — walka rozgłośna, po całym kraju echem się rozlegająca. Stąd też ze strony urzędowej charakterystyczne sposoby walki, a między innemi — fałszywe i gołosłowne poniżanie budownictwa miejscowego, które z natury rzeczy jest u siebie gospodarzem i panem. Zakopiański urząd budowlany ani jednym argumentem, ani jednem słowem nie broni „nowoczesnych zaprojektowań“, bo, oczywiście, nonsensu obronić nie można. Ale za to uznał za najwyższy swój obowiązek stłumienie i wyparcie rodzimej architektury zakopiańskiej i jej pierwiastków do dalszego rozwoju zdolnych i powołanych. I wypiera je siłą na rzecz... maszyn do mieszkania.

W broszurze swojej „O styl zakopiański w budownictwie Zakopanego i Podhala“ p. Jan Gw. Pawlikowski szeregiem fotografij i argumentów rzeczowych znakomicie unaocznił i udowodnił całą, z jednej strony, brzydotę wznoszonych w Zakopanem maszyn do mieszkania i „domów fantazyjnych“, a z drugiej strony — piękno, logikę i dostojność dworów i dworków zakopiańskich. Że jednak narazie i trybem praktycznym osią sprawy i polemik stała się zamierzona budowa ratusza w Zakopanem, więc punkt ciężkości tej wojny architektonicznej przenosi się na zagadnienie, czy styl zakopiański, przejawiony w materjale drzewnym i w odosobnionych dworach jednopiętrowych, da się utrzymać i rozwinąć w budownictwie murowanem, w ulicach zwartych i w gmachach (jak ratusz zamierzony) dwupiętrowych. Jak widać z wynurzeń, zakopiański urząd budowlany skłania się ku wystawieniu maszyny do zasiadania rady miejskiej. Już taką maszynę do przesyłania listów zrobiono z gmachu poczty zakopiańskiej. Maszynę do picia kawy i maszyny do uczenia dzieci także już pod wysokim patronatem urzędów „nowocześnie zaprojektowano“. A wobec tego, że styl zakopiański urzędowo ogłoszono za niezdolny do życia „prymityw“, innych zaś stylów wogóle władza nie uznaje, więc los Zakopanego, jako „podciągniętego do miary europejskiej“ rezerwatu międzynarodowych maszyn mieszkaniowych, jest nieodwołalnie rozstrzygnięty.

Ale społeczeństwo Zakopanego i Podhala sądzi, niestety, że sprawa nie przedstawia się tak prosto. Przedewszystkiem, urząd budowlany, jako rodzaj policji budowlanej, z natury swej ma władzę wglądu i nakazu tylko w sprawach bezpieczeństwa i zdrowia gmachów wznoszonych. O sztuce i stylu rozstrzyga społeczeństwo, które się na własnej ziemi swojej od wieków buduje. Nie znam rozprawy pani Brudzińskiej, ale trafne są jej słowa — „My chcemy stylu zakopiańskiego“, które przytacza rycerski pan Pirgo i porównywa je z piosenką jakiejś szansonistki — „Zula chce króla“. Kierownik zakopiańskiego urzędu budowlanego ma styl i poziom myśli — kabaretowe. W słowach pani Brudzińskiej tkwi głęboka słuszność życiowa i artystyczna. Tylko wola społeczeństwa rozstrzyga o stylu jego budownictwa, co historja architektury w całości potwierdza. Wyskoki despotyj, w rodzaju bolszewicko-masońskich, z knuta się rodzą i na knucie kończą. Następnie: — o możliwości rozwoju stylu zakopiańskiego pierwszorzędni architekci, w ankiecie „Wierchów“ zestawieni, wypowiadają się conajmniej ostrożnie, przypuszczając, że styl ten posiada w sobie zadatki monumentalności, oczekujące tylko na twórców, którzyby pierwsze kroki Witkiewicza dalej posunęli. Cóż tu ma do powiedzenia pan Pirgo ze swoją Zulą? A wreszcie; zagadnienie rozwoju stylu z drzewa na mur może być rozwiązane tylko praktycznie, szeregiem prób ponawianych, oraz wysiłkiem woli, w określonym kierunku działającej. Zachętą do prób i uświadomieniem woli są, między innemi, konkursy, warunkujące styl zakopiański, a także naukowe jego badania i rozprawy zawodowe, rzeczowe, życzliwe, a w każdym razie — nieuprzedzone. Takie właśnie stanowisko zajęły towarzystwa podhalańskie i zakopiańskie, czasopismo „Wierchy“, oraz szereg architektów i znawców sprawy z panem J. G. Pawlikowskim na czele. Tylko takie stanowisko godne jest sztuki i kultury.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

List Legjonisty. — O metody myślenia politycznego. — Szkoła papug. — Jak sobie mały Jaś wyobraża politykę. — Polska istnieje od czasu rozbiorów i powstań. — Rewizja bagażu ideowego. — Z czem przyszedł r. 1905? — Ohyda polityki realnej.

Z POWODU „Na widowni" w nr. 48 otrzymałem długi list bezimienny (z podpisem: Legjonista), piętnujący działalność „Endecji". Zaczyna się od słów:

— Więc Pan uważa, że r. 1905 był skandalem i ze zgorszeniem Pan zaznacza, że uroczyście obchodzono 25-lecie. Cóż, może dla endeków była zgorszeniem walka z caratem po przeszło 40 latach głuchej niewoli, walka, która wstrząsnęła jednak posadami caratu, dała nam strajk szkolny, och jakżeż potępiony przez Was, dała poczucie świadomości narodu i wiary w swe siły. I przypominają mi się słowa francuskiego pisarza z *„Illustration"*, który był w Krakowie na odsłonięciu pomnika Grunwaldzkiego i który zdumiony siłą narodu napisał: *„La Pologne debout, fière, independante, la Pologne quand même"*. A całą działalność endecką można określić słowami ś. p. posła Żukowskiego: „Gdy Bismarck głosił, że Polska, to lew w klatce, wtedy Dmowski chciał dowieść, że to nie lew, tylko skamlący szczeniak". Ostro, ale jakże wiernie!

Dalszy ciąg listu poświęcony jest rozwijaniu tezy powyższej. Mianowicie: działalność polityczna obozu wszechpolskiego pozbawiona była wszelkiego „bagażu ideowego":

„Zdumiewa" — pisze autor listu — „skąd tyle ohydy mogło się skupić w endecji, która przecież zaczęła górnie i chmurnie, bo od Popławskiego".

Nie mam bynajmniej żalu do Legjonisty, że mnie wybrał za powiernika swych poglądów historycznych na ostatnie lata dziejów polskich, martwi mnie tylko, że żyję w czasach tak głębokich nieporozumień w zakresie elementarza myśli politycznej. Tembardziej martwić musi człowiek, który — zdaje się — wierzy w to, co myśli o rzeczach wielkiej wagi, nie zdając sobie sprawy z błędu samego założenia. Pocóżby zadawał sobie trud pisania długiego listu, gdyby nie wierzył, że jego myśl jest dużej wartości i że może przeciwnika przekonać?

Nie mam zamiaru spierać się merytorycznie o każde słowo listu, ale muszę się wypowiedzieć o wartości sposobu myślenia autora.

Z pierwszego zdania, wyżej przytoczonego widać, jaki chaos powstaje w głowie człowieka 1905 r., gdy mu wypadnie myśleć kategorjami historycznemi o Polsce. Stojąc na gruncie rewolucji z owego czasu, powołuje się na słowa Francuza, wygłoszone pod wrażeniem manifestacji narodowej z r. 1910. Była to przecież kontr-manifestacja w stosunku do tego, co się działo w r. 1905. Ludzie z owego roku, z pp. Perlem, Posnerem i panią Gołde na czele [1]) nie brali udziału w antyniemieckiej manifestacji 1910 r., na czele której stał Paderewski. Tylko myśl bardzo zdezorganizowana może tak kojarzyć i takie przesłanki układać w sylogizm. Tak samo powołanie się na opinję Żukowskiego. Żukowski, jen. Babjański czy też Lednicki to znowu tuzy z innej talji kart; widzieliśmy przecież w czasie wojny, że bynajmniej nie na Grunwald kierowała się linja działania tych *„Polonais quand même"*...

Z listu Legjonisty wieje wiara zabobonna w moc werbalizmu. W jego mniemaniu historja zajmuje się dziejami „zamawiania": ten powiedział to, ten owo. Tymczasem historja zajmuje się czynami ze stanowiska ich użyteczności dla narodu lub szkodliwości. O czem właściwie Pan pisze: czy o tem, jakie robiły na kim wrażenie dane osoby i fakty, czy też o tem, co te osoby i fakty dla narodu (złego czy dobrego) uczyniły? Czy Pan miał zamiar udowodnić, że Dmowski i jego obóz wyrządzili Polsce krzywdę? Że cała robota wszechpolska od lat czterdziestu do r. 1919, robota organiczna nad budzeniem świadomości narodowej i jednoczeniem duchowem zaborów, robota organizacyjna, a potem polityczna na zewnątrz i dyplomatyczna — sprowadziły klęskę na naród? Przecież fakty mówią co innego. I niemi zajmuje się historja, nie zaś tem, jak to się nam wydawało, lub o ile komuś partykularnie nie dogadzało. Krytyka historyczna jest dość biegła, aby takie „dokumenty", jak oszczerstwa, rzucane na Dmowskiego, odwiać od ziarna.

Nie tylko krytyka historyczna, wystarczy sumienie zdrowej duszy, aby fałsz był odczuty jako plewa. Niech Pan przeczyta parę powieści polskich, a będzie Pan wiedział, co społeczeństwo nasze myśli o rzeczywistości i jej fałszowaniu. Niech Pan przeczyta Bolesława Prusa „Omyłkę", albo dzisiejszą powieść „Dziedzictwo" Wybranowskiego, a przekona się Pan, że dzisiaj opinja publiczna już palcem wskazać może, gdzie są szkoły, które uczą papugi nieprzyzwoitych wyrazów. Nasze powietrze polityczne rozbrzmiewa od przekleństw na „endecję", insynuacyj i oszczerstw. Niemniej papugi historji nie napiszą, bo te słowa są bez związku z rzeczywistością i z myślą społeczeństwa.

Te słowa są bez związku wewnętrznego i po tem właśnie poznać można, że są wyuczone pod dyktando. Każde z nich ma swoją historję, mogę oznaczyć daty, kiedy każde z nich w kurs puszczono. Obliczone są na zamordowanie człowieka lub obozu w opinji. O Dmowskim pisało się tak, jak w owej „Omyłce" Prusa, że naród swój sprzedaje, zdradza, że się hańbi, wysługuje, że jest wrogiem niepodległości narodu, że bierze pieniądze z ambasady rosyjskiej, potem że jest karzeł, nic nie umie. Wreszcie — już po wojnie — puszczono jednocześnie z rozmaitych punktów, że Dmowski jest chory nieuleczalnie, skończony—już go niema... Ileż razy w podobny sposób grzebano cały obóz narodowy, aż to wreszcie stało się śmieszne.

Najnowszy pomysł masonerji — to legenda o Popławskim, jako kimś obcym Dmowskiemu. Pan i tego się już nauczył. Ale czy Pan swoich dziejów ojczystych istotnie musi się uczyć pod hypnozą, czyż nie może Pan wziąć do ręki książek Popławskiego, Dmowskiego, Seydy i in. i poprostu dowiedzieć się z dokumentów, jak było i jest? Niestety tego Wam nie wolno czytać, Wy zresztą niczego się nie uczycie, nic nie bierzecie na rozum.

Społeczeństwo polskie jest wiekiem młode i kulturę myśli politycznej ma naogół nizką, ale znowu nie trzeba z niego robić karykatury. To, co Pan prawi, wierząc pewno w powagę swego słowa, ludziom z kulturą polityczną przypomina znane rysunki małego Jasia, któremi rozweselają czytelników pisma humorystyczne: jak to sobie Jaś wyobraża twórczość polityczną... Według Pana epizod masakry ludności polskiej na placu Grzybowskim

[1]) Radziłbym Legioniście, aby przeczytał krytycznie wspomnienie rob. Żukowskiego o tej pełnej chwały manifestacji na Grzybowie („Niepodległość", t. I, s. 114), gdzie tyle krwi ludu przelano. Bojowiec Ajzenlist uprzedził policję o manifestacji.

w czasach rewolucji jest świetlistym w dziejach punktem, nawet punktem wyjścia dla niepodległości Polski. Jednocześnie działalność Komitetu Narodowego w Paryżu nazywa Pan „ohydą“. Pan jest tak gorącym patrjotą, że nie może Pan uznać zasługi tego Komitetu, bo gdyby Pan uznał, to wtedy należałoby raczej wyrzec się niepodległości... To też ładnie wygląda dziś idea wolności, eksploatowana przez ludzi ze szkoły 1905 r.

Czego Wam nie zdołano wmówić! Niegdyś polityka polska, nie mogąc odrazu wcielić do państwa jakiej dzielnicy, zadowalała się z musu formą unji. Wam wmówiono, że unja jest czemś doskonalszem od wcielenia; więc gdy teraz, po uzyskaniu zjednoczenia i niepodległości, mamy daną ziemię wcieloną integralnie, wy — jak dzieci — niepokoicie się, jakby tę ziemię wydzielić, aby z nią się złączyć federacyjnie, bo tak będzie ładniej... Czyż Pan tego nie widzi, że międzynarodówka kpi sobie z Was czyni Was narzędziem swoich planów. Ba, w dodatku jeszcze pozostaje: „za waszą i naszą wolność“. — To jeszcze piękniejsza poza.

Pan tak myśli o Polsce — i tego także wyuczyli Pana historycy masońscy, — jakby ona zaczęła być czemś żywem dopiero po rozbiorach, dlatego Pan nie ma pełnego jej obrazu w duszy. Ale nawet w tym małym okresie trzeba z faktów wyciągać jakieś wnioski dla Polski, nie dla placu Grzybowskiego:

„Myśl polska“—„pisze Pan—od czasu rozbiorów szła dwoma szlakami. Rok 1905 był nawiązaniem tradycji poprzez powstania... aż do Kościuszki, który też był przez ówczesnych endeków wyklinany jako niosący zgubę narodu. Tym szlakiem poszli ludowcy i Piłsudski“...

Bardzo piękne tradycje, aczkolwiek Polska ma odleglejsze z czasów zwycięstw, nie katastrof; jakiż jednak wniosek dla Polski niesie Pan, schodząc po tych stopniach powstań od Kościuszki do Piłsudskiego? Czy one zbliżały do zjednoczenia i niepodległości, czy też były one coraz bardziej katastrofalne? Przytoczyłem właśnie tę gradację, jak ją widział Bolesław Prus, i to Pana zgorszyło (ale Prus nie był endekiem). Niech Pan sprobuje pomyśleć o tem samodzielnie. Bo gdyby życie płynęło wstecz, gdyby można było ten film historyczny w tył pokręcić, jak to widujemy w kinie, to mógłby ten rodowód powstań kogoś przekonać, ale jak związać Grzybów z dalszemi jego przesłankami w czasie wojny, zmierzającemi do poderwania autorytetu Komitetu Narodowego, i z traktatem wersalskim jako wynikiem logicznym, — tej *suite*'y historycznej nie sklei żaden historyk. Tutaj już lepiej nie rozumować, raczej zasypać ten obraz dziejów gradem nieprzyzwoitych wyrazów pod adresem „endeków“ i myśleć nad tem, czyby nie dało się metody powstań stosować dalej w wolnej Polsce.

W liście swoim poddaje Pan rewizji, z jakim kto „bagażem ideowym“ wszedł do niepodległej Polski. Stoi otworem nasza literatura polityczna i to nie drobna. Nie nasza wina, że Pan wpierw wyrokuje, zanim rzecz poznał. To tylko powiem, że za ten bagaż ideowy obóz nasz jest tak prześladowany, jak był dawniej ścigany przez Austrję, Prusy i Rosję. Dążąc do zjednoczenia i niepodległości, chcieliśmy widzieć Polskę, jako państwo narodowe i silne. Chcieliśmy się oprzeć na fundamentach dawnej Polski Jagiellonów i Piastów, według ambitnych założeń Chrobrego. Obrócono to w żart: „Obwiepol“! Tego nieprzyzwoitego wyrazu powtarzanie jest nakazane przez tych, którzyby Polskę chcieli mieć małą i słabą. Pokazało się wreszcie, gdzie jest lew, gdzie szczeniak.

Walka dwu obozów trwa. Zwycięski zaś obóz dzisiejszy z jakimże bagażem wszedł do niepodległej Polski? Wymienię Panu niektóre punkty programowe idej, z któremi lewica szła do nowego powstania w latach 1923 — 1926 (Zapomniał Pan w swem wyliczeniu, że były jeszcze dwa powstania — w r. 1923 i 1926). Idee te były bolszewickie: 1) ustrój państwa federacyjny, 2) w administracji system Rad, 3) zamiast wojewodów i starostów — komisarze, 3) oddzielenie kościoła od państwa, 4) upaństwowienie lasów, natychmiastowe wykonanie reformy rolnej bez odszkodowania, 5) powszechna służba wojskowa (milicja ludowa) trwająca 1 rok 8 miesięcy i t. p.

Ostre kanty tego „bagażu ideowego“ ściera samo życie, niemniej istota jego założeń politycznych, negatywnych dla idei narodu, a pozytywnych dla wszystkiego, co jest „waszą wolnością“, więc dla mniejszości, istota radykalizmu społecznego, zgoła cały dorobek 1905 r. tlą się we wnętrzu i dobywają się na wierzch w rozmaitych postaciach w ciągłem tarciu z rzeczywistością polską.

Oto cały bagaż, przyniesiony z placu Grzybowskiego. Jak on dzisiaj wygląda w posiewie „twórczym“? W liście swoim deklaruje się Pan, jako wróg „Sanacji“, której ideałem, jak się pokazuje, jest państwo policyjne. Czy ludzie są inni, czy Pan się co do nich pomylił? Szedł Pan przecież z nimi przez etapy z lat 1905, 1920, 1926, aż do Brześcia, słucha Pan dyskusji w Sejmie budżetowej, telefonicznej, niemieckiej, ukraińskiej, czyta Pan gazety, jak Polska jest widziana na świecie; ale wobec tego: co Panu, który przecież na swej drodze zawiódł się i zbankrutował, daje prawo osądzania tych, którzy szli do niepodległości z innym bagażem ideowym i wielkiego czynu dokonali?

Realizacja jest probierzem idej, nie hasło, które potrafi głosić papuga tresowana. Ma Pan przed sobą dalszą drogę „pogłębiania rewolucji“. Jeśli ta droga była dobra dotąd, czemuż Pan się zawahał, a nam złorzeczy?

Myśmy Polski nie traktowali nigdy przygodnie i sezonowo jako przedmiotu sportu, nie była dla nas środkiem dla celów rewolucyjnych, lecz celem dla niej samej, aniśmy w niej nie szukali lustra dla swej pozy bohaterskiej, myśmy jej służyli. Naszą ambicją było ją zjednoczyć i wyjarzmić, aby się stała podmiotem dziejów, jak dawniej, w swoich odwiecznych warunkach rozwoju historycznego, aby, z powrotem wolna, nie dawała się na przyszłość zwodzić obcym na manowce i rozrastała się w potężne, ugruntowane w ziemi oraz w instynktach swego ludu mocarstwo.

Nazywa Pan „ohydą“ realizm polityczny, biorący za kryterjum działania korzyść dla kraju; więc powinien Pan być zadowolony z tego, co teraz jest. A jeśli sumienie czegoś buntuje się, to niech mu Pan dobrze się przysłucha i zacznie myśleć samodzielnie. Nie zagłuszy go Pan stekiem brzydkich słów pod adresem obozu narodowego, który przecież będzie musiał naprawiać zniszczenia; niech Pan raczej pomyśli rzeczowo o przyszłości, pospołu z ludźmi moralnie odpowiedzialnymi.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

BANKRUCI

W OBLICZU coraz nowych wieści o prześladowaniu Polaków na Łotwie, coraz jaskrawiej uwydatnia się bankructwo polityki, jaką od pierwszych dni odbudowania Państwa Polskiego prowadzi obóz piłsudczyków w stosunku do państw bałtyckich, w szczególności do Republiki Łotewskiej. Zahypnotyzowany nienawiścią względem Rosji, manjacko uparty w dążeniu do zorganizowania za wszelką cenę „frontu antyrosyjskiego", obóz ten z lekkiem sercem ofiarowywał Łotwie Inflanty Polskie i powiat Iłłuksztański, byleby tylko zjednać ją dla swojej przeciwrosyjskiej „koncepcji".

Od jedenastu lat trwają ustawiczne ze strony polskiej wysiłki nad wytworzeniem nastrojów polsko-łotewskiej przyjaźni czy nawet „braterstwa". Z jakąż pieczołowitością organizował b. poseł polski w Rydze p. Łukasiewicz „Towarzystwa łotewsko-polskie" w Rydze i Dynaburgu! Jak nie szczędzono kosztów ani starań na rozmaitego rodzaju zjazdy, wycieczki, bankiety, na których aż do znudzenia prawiono o „wiekowych tradycjach" współpracy obu narodów, o potrzebie „wzajemnej wymiany dóbr kulturalnych", „wzajemnego zapoznawania się z twórczością" i wielkich „obustronnych" jakoby korzyściach takiego „duchowego współżycia"... Dla Polaka, zdającego sobie sprawę, czem jest Polska i jej cywilizacja, ten brak dystansu, to popisywanie się z naszej strony deklaracjami braterstwa musiało mieć w sobie coś nie licującego z godnością wielkiego narodu, coś upokarzającego. Wszak Łotwa — to nie Francja, Włochy albo chociażby Czechy, narody o wielowiekowej, wspaniałej przeszłości, z któremi istotnie współżyliśmy kulturalnie przez stulecia, i którym rzeczywiście cywilizacja nasza zawdzięcza niezmiernie wiele... Łotwa, jeżeli chodzi o jej rolę historyczną i stanowisko w ogólnym dorobku kulturalnym Europy, toż to nawet nie... Litwa! Trochę żałosna, zaiste niezbyt „mocarstwowa" była postawa naszej propagandy, tak niestrudzenie krzątającej się i zabiegającej o życzliwość łotewską...

Główny organ „braterstwa" polsko łotewskiego, oficjalna „Gazeta Polska", orjentując się, iż nie może już milczeć dłużej w sprawie obecnych prześladowań na Łotwie, określa je w sposób łagodny jako „niespodziankę", „przykrą niespodziankę", i wywodzi, iż podyktowane są one nie jakimś planem politycznym, ale jedynie chwilowemi względami taktycznemi: rząd łotewski, organizując prześladowanie Polaków, pragnął poprostu pozyskać tym sposobem poparcie opinji publicznej w okresie wyborów parlamentarnych... Ładnie wygląda owa wychwalana „głęboka sympatja", którą społeczeństwo łotewskie żywić miało jakoby w stosunku do narodu polskiego, jeżeli walka z polskością miała okazać się tym szczególnie atrakcyjnym programem, jednającym głosy wyborców łotewskich dla rządzących obecnie w Łotwie partyj!.. Wszakże sama „Gazeta Polska" przyznaje z melancholją, że „nie zanotowaliśmy dotychczas ze strony społeczeństwa łotewskiego ani jednego odruchu nietylko oburzenia na antypolską politykę Petrewicza (łotewski minister spraw wewnętrznych, przyp.), ale nawet najmniejszego sprzeciwu. Raczej przeciwnie".

Dziś, gdy na Łotwie dzieciom polskim zakazują nauki pacierza w ojczystym języku, „Gazeta Polska" karmi wyobraźnię swych czytelników, słusznie zresztą w chwili obecnej przypomnianem, „bohaterstwem i szczodrą ofiarnością polskiego żołnierza, który dla państwowości łotewskiej złożył hojny dar w postaci krwią własną zdobytej Letgalji". Charakterystyczne jest, iż urzędowy organ „sanacji" nawet nie ma odwagi wykrztusić odwiecznej polskiej nazwy „Inflanty", potulnie zastępując je nieznaną językowi naszemu, łotewską „Letgalją"... Ale jeszcze bardziej charakterystyczny jest ów *passus* o „o f i a r n o ś c i" żołnierza polskiego, który państwu łotewskiemu złożył jakoby „h o j n y d a r w postaci... Letgalji". Wiadomo przecież, iż wojsko polskie zdobyło wprawdzie zimą r. 1920 Inflanty, ale o losach politycznych tego kraju, o jego ofiarowaniu Łotwie decydował nie jakiś bezimienny „żołnierz nieznany", tylko ówczesny wódz naczelny, który krok ten uczynił był z własnej decyzji i na własną, wyłączną odpowiedzialność. Czemuż to „Gazeta Polska" tak wstydliwie przemilcza jego nazwisko?

IGN.

NAUKA I LITERATURA

NAUKA POLSKA

W CZTERNASTU tomach „Nauki Polskiej" znajdzie czytelnik bogate i wszechstronne archiwum do historji nauki odrodzonej Polski. Dobrze też pod względem treści odpowiada pismu jego tytuł: „Nauka Polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój". Istotnie, w tych trzech kierunkach zmierza praca redakcyjna poważnego organu Kasy im. Mianowskiego, skupiona, mądra i ciągła.

Nie znaczy to wcale, by lektura okazałych, potężnych tomów wielostronicowego pisma była np. nudna. A wszak „Naukę Polską" tak mało się czyta i tak się mało o niej — poza kołami specjalnemi — mówi. Tymczasem jest to perjodyk, którym można się zainteresować nie tylko z t. zw. obowiązku.

Jakże np. emocjonujące były autobiografje naukowe kilku znakomitych polskich uczonych, ogłaszane na łamach poprzednich roczników; nie takie zwykłe autobiografje szarego rzekomo „profesorskiego życia", ale gruntowne rozprawy, określające typ psychiczny i umysłowość najtęższych członków uniwersyteckiej elity, prześwietlone bystro i wnikliwie, — słowem pasjonującem, pełne subtelnych szczegółów, analiz i obserwacyj, które przykuwają. Jedyny w swoim rodzaju, naukowy „Plutarch". Czy się ktokolwiek do tych rzeczy poza gronem „wtajemniczonych" rozciekawił?

A przecież w dziale naukoznawczym pisma niejeden głęboko pomyślany artykuł mógłby się okazać i lekko strawnym i pociągającym dla ludzi, którzy ich nie czytają, bo — poprostu — o nich nie wiedzą.

Na kartach szacownego wydawnictwa poczynała się, rodziła i krzepła wolna, różnoraka, najpierw uboga, potem coraz znakomitsza, coraz lepiej się organizująca nauka odrodzonego państwa. Od „kwestjonarjuszów", rozsyłanych uczonym naszym w r. 1918 (tom I „Nauki"), po żądania i postulaty, wypowiedziane niedawno, w dziesiątą rocznicę niepodległości — jakaż długa droga wysiłku, pracy, zamierzeń, dokonań, niepowodzeń. Ile się przez ten czas przewinęło tu projektów, odbyło — narad, przedyskutowało — poglądów. W różnych kwestjach; szło o naukę polską, o organizację polskiej nauki, rozpierzchłej, niejednolitej, wędrującej samo-

pas; o plan i metodę pracy, — o przyszłość. Historyk rozwoju i wzrostu nauki polskiej po r. 1918 znajdzie kiedyś, po latach, na łamach tych roczników istne, jak się powiedziało, archiwum, niewyczerpaną kopalnię materjałów z pierwszej ręki.

Cóż znajdzie nie historyk, ale poprostu zwykły, pospolity, ciekawy — współczesnik? To zależy, czego jest ciekawy. Interesują go np. *polonica* u obcych: bogate skarby polskiej myśli i kultury, przechowywane po różnych, zagranicznych zbiorach, bibljotekach, archiwach, interesuje go może sama mnogość tych rzeczy — niechże swe studja rozpocznie od „Nauki Polskiej". Albo rad wiedzieć, jak organizuje się nauka zagranicą, w jaką się formę obleka po całej Europie i Ameryce, jakich dróg szuka dla swego wzmożonego, powojennego działania, — nie powinien ominąć zarówno bogatej kroniki zagranicznej i działu recenzyj, jak i całego szeregu obszernych, gruntownych artykułów tego właśnie pisma. Lub jeszcze kto inny nie zna np. interesujących a ważkich objawów naukowego życia polskiej prowincji, zorganizowanego w liczną sieć towarzystw naukowych, muzeów, bibljotek, zbiorów prywatnych, miejskich, regjonalnych, — wszystko ma tutaj zebrane, ułożone, ponumerowane, niech otwiera i czyta. No itd., itd. A w każdym razie dobrze jest wiedzieć, — że wychodzi w Polsce, jednak wychodzi, taki organ naukoznawczy, przy Kasie im. Mianowskiego w Warszawie, i rejestruje czujnie, śpiesznie i z miłością wszelkie sprawy, troski i bolączki, rezultaty i zadania polskiej nauki, wszelkie ciekawsze echa i szczegóły z nauki obcej. Oto leży przed nami czternasty tom tego wydawnictwa.[1])

Na czele artykuły ogólne. Marjan Heitzman na tle historycznem ujmuje w formie skondensowanej stosunek nauki i uczonego do społeczeństwa. Stanisław Zaremba rozwija zagadnienie „Utylitaryzmu a nauki czystej", w której widzi warunek rozwoju gospodarczego i siły obronnej państwa. Czesław Łapiński przedstawia w tablicach statystycznych „Katedry i siły naukowe profesorskie w państwowych uczelniach akademickich" i wysnuwa wnioski liczbowe o potrzebach nowych sił w poszczególnych naukach. Matematyka stosowana jest troską następnych z kolei wywodów Antoniego Łomnickiego. Jan Rutkowski omawia formy organizacyjne pracy naukowej i spostrzega niebezpieczeństwo w ustalonych nawykiem organizacyjnych schematach (zjazdy, czasopisma, towarzystwa itd.) W inną dziedzinę prowadzi czytelnika Jan Dobrzański, który w dziejach ofiarności na cele oświaty na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w latach 1795—1832 znalazł wiele ciekawych i krzepiących szczegółów, które dziś zwłaszcza zasługiwały na utrwalenie. Kilka źródłowych artykułów informuje o życiu naukowem obcem: Stanów Zjednoczonych A. P. (A. Coleman), Niemiec (M. Bogucki), Węgier (J. Tomcsányi), Czechosłowacji (H. Batowski), Jugosławji (H. Batowski), Hiszpanji (E. Frankowski). Pozatem: kronika polska, kronika zagraniczna, recenzje, skorowidze. Ten przegląd treści, dokonany raczej wszerz, niż w głąb, ma jedynie wskazać czytelnikowi bogactwo ogłoszonego świeżo tomu i zdać mu sprawę z rozległości poruszonych zagadnień.

Rocznik XV, którego za kilka miesięcy można oczekiwać, będzie nietylko pewną jubileuszowską pozycją w życiu wydawnictwa: zbiegnie się także z jubileuszem innym, starszym, a więc szanowniejszym. Kasa im. Józefa Mianowskiego obchodzić ma złote gody zasłużonego pięćdziesięciolecia. Może już niebardzo rozumiemy, co to znaczy 50 lat pracy, i takiej pracy; i niebardzo zdajemy sobie sprawę z całej sędziwości i piękna przeżytego wieku dostojnej instytucji. Urodzona w niewoli, krępowana w powiciu, rosła ofiarnością kopiejkowych nieraz składek, patrjotyczną filantropją dobroczynnych zapisów. Dłużej było klasztora niż przeora. Przetrzymała i Rosję, i wojnę, i inflację. Jest do dziś dnia, pracuje. Owoc doby pozytywizmu, pielęgnowany rozwagą i myślą chłodnej tamtoczesnej kultury, zarumienionej z kolei powiewem innych młodych czasów, jest ciągle jeszcze żywy, świeży i jędrny. Odmienne polityczne warunki musiały mu nadać pewien kształt, przeznaczony zgóry, ale Kasa im. Mianowskiego nie skostniała w tej formie, — ożywiona nowym duchem jęła się nowych zadań i prac w wolnem państwie. Dzisiaj zastąpił ją w spełnianiu niektórych obowiązków rząd i szereg powołanych ku temu instytucyj. Ale przez długie lata była jedyną i najwyższą instancją naukową b. Królestwa, krzepką i mocną strażnicą niepodległości polskiego ducha, nad którego swobodą i twórczym rozwojem czuwać miała w ponurych, tamtych czasach. Jeden z naszych historyków literatury opracował już na rok jubileuszowy Kasy historję tej pracowitej, zapamiętałej, oddanej i wiernej służby. Ale nie o to tylko idzie.

Idzie o co innego. O to, czy Warszawa minie złoty jubileusz trudu, tak jak mija tylokrotnie Pałac Staszica na Krakowskiem Przedmieściu i wszystkie inne małoważne sprawy dnia. Czy nie zapomni o uroczystem święcie instytucji, która urodziła się z jej własnej, samoswojej, mazowieckiej myśli i z jej własnej, dobrowolnej, wdowiej ofiary — nieodrodna córka stolicy. Czy nie zapomni i czy będzie o tem trwale pamiętała?

TADEUSZ MIKULSKI

[1]) „Nauka Polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój", XIV, wyd. Kasy im Mianowskiego, Warszawa, 1931 str. X + 404.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

P. Stanisław Fałat, brat znakomitego malarza Juljana, wydał (Nakład księgarni Hoesicka, Warszawa 1931 r. str. 167) książkę p. t. „Sztuka i życie (Refeksje)". Jest to miła książeczka, w której inteligentna i wrażliwa jednostka wyraża swoje poglądy na istotę sztuki i piękna oraz na ich związek z życiem. Wszystko to jest podane nie w formie ścisłych wywodów rozumowych i uzasadnień, lecz w formie „refleksyj" — jak chce autor — tchnących gorącą miłością sztuki jako wyrazicielki piękna życia. Niezawsze te „refleksje" godzą się z sobą. Tak np. autor, stwierdziwszy na początku książki, iż celem i przedmiotem sztuki jest piękno, wyznaje, że nikt nie może jasno określić, czem jest ono. „Czar piękna — powiada — odczuwają wszyscy, lecz zadaniem ponad ludzką moc jest ścisłe określenie, czem jest piękno". Następnie jednak czytamy: „Pięknem jest to, co życie człowieka czyni czystem, jasnem, zdrowem, radosnem"... (str. 30) „Co jest pięknem w życiu, w naturze? To, co pełne siły fizycznej i duchowej, barw czarujących, linij szlachetnych, ruchu wdzięcznego, dźwięku rytmicznego; to, co jest bujnem, pełnem rozpędu"... (str. 41). Autor, słowem, nie wyrzeka się ścisłego określenia piękna, chociaż jest zdania, że to przechodzi możność człowieka. Trzymając się powyższych jego określeń, można byłoby utrzymywać, że w licznych objawach niezaprzeczenie wielkiej sztuki piękno jest nieobecne (np. w dziełach wielu prymitywów, w kierunku prerafaelitów angielskich i t. p.); można słowem dojść do sztuki konwencjonalnej, której autor jest nieubłaganym wrogiem.

Tego rodzaju sprzeczności książki p. St. Fałata wynikają stąd, że jego „refleksje" są raczej wyrazem duszy entuzjastycznej, wielbiącej, niż myśli ścisłej. Ale na tem właśnie, poza trafnością wielu jego poglądów, polega wdzięk jego książeczki. (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

DZISIEJSZY feljeton nie jest zamkniętą w sobie całością ani jej fragmentem: ot poprostu garść wiadomości o dniu powszednim życia artystycznego. Nie skończyliśmy jeszcze z Zachętą, a już otwarto nową wystawę u Garlińskiego i wpół drogi między Zachętą i Garlińskim—nowy Salon Artystyczny (Kredytowa 4)

Przybytek sztuki na pl. Małachowskiego gości dwie wystawy pośmiertne: Zefira Ćwiklińskiego i Gustawa Pillatiego.

Z. Ćwikliński umiłował Tatry. Nie patrzył na nie jednak z perspektywy, pozwalającej ujrzeć bryłę monumentalną i groźny majestat; tkwił niejako w ich wnętrzu, że się tak wyrażę, fizycznie i duchowo. Widział więc urywki całości i odtwarzał je z miłością. Bezpretensjonalna szczerość tych, drobnych przeważnie obrazków, mających za temat skrawek

zieleni, kilka świerków, owce w mżącej poświacie—najwięcej nas w nich ujmuje.

G. Pillati w swe motywy pejzażowe wprowadzał prawie zawsze postać ludzką. Dosadną barwność stroju ludowego łączył z barwnością krajobrazu. Główną cechą i siłą jego obrazów była ta właśnie jaskrawość barw, czasem nadto nieokrzesana. Sposób, wynaleziony przez malarza na rozwiązywanie zagadnień światła, ma wartość pewnej lakoniczności w dziełach najlepszych, stosowany w czambuł — nuży jednostajnością.

Życie obu artystów nie było usłane różami. Borykanie się z wieloma przeciwnościami nie zniechęciło ich jednak do uprawiania obranego przez się zawodu. Przeto zasługują na szacunek.

*

Coraz tęższa staje się faktura akwarel Jerzego Rupniewskiego. Zamaszysta, wyzyskująca w pełni soczystość farby wodnej, jest posłusznem narzędziem w ręku artysty. Także i odtwarzane motywy zyskały na kompozycyjnej zwartości. W rozwoju swej wiedzy malarskiej Rupniewski nie omieszkał zapewne skorzystać z nauki, jakiej mogły mu udzielić dzieła naszych najznakomitszych akwarelistów, zwłaszcza Fałata. Gdy się już ma taką technikę, możnaby z kolei przerzucić ciężar zaiuteresowań na pogłębienie wizji artystycznej.

Artysta wystawia widoki i fragmenty architektoniczne, przeważnie z Pomorza.

*

Wystawa jubileuszowa popularnego w Warszawie M. Trzebińskiego przypomina publiczności artystę i ze strony nieco mniej znanej. A mianowicie, razem z ostatniemi, widzimy sąsiadujące i prace wczesne, olejne, między któremi jest kilka portretów. Dzieła te cechuje barwa przytłumiona, o przewadze kolorów brunatnych, tak charakterystycznych dla malarzy, którzy wyszli ze szkoły monachijskiej w końcu XIX-go wieku.

Reszta — to znane wszystkim obrazki, odtwarzające piękno starej architektury naszych miast i miasteczek. Wiedziony pragnieniem utrwalenia rekordowej chyba liczby zabytków, malarz z pewną nonszalancją traktuje stronę formalną swych akwarelek.

*

Obrazy Pawła Gajewskiego ze Lwowa mówią nam o chęci rozwiązywania różnorodnych zagadnień malarskich i mówią także o tem, że niektóre z nich nie leżą wcale w obrębie możliwości artystycznych autora. Rażące są zwłaszcza wielkie kompozycje o tendencjach dekoracyjnych, gdzie kształt ludzki, bezskutecznie zamykany przez artystę w kluby konstrukcyjne, wymyka się i wyczynia niesmaczne harce z proporcją i rysunkiem. Natomiast niektóre pejzaże i studja portretowe (np. „Malarka"), malowane swobodnie, szeroką plamą, mają pewną dozę swobodnej dekoracyjności, bez nieprzyjemnie uporczywego starania się o nią.

*

P. Stefan Rudolf wystawił szereg fantazyj architektonicznych, w których natrętnie i nieudolnie podrabia Noakowskiego.

*

(Salon Cz. Garlińskiego). „Pewna starsza pani"—odpowiada: nie pamiętam, Chamfort, czy La Bruyére — „znana ze swej religijności, nawet dewocji, będąc w towarzystwie i chcąc się przypodobać obecnemu dostojnikowi, znanemu ze swych wolnomyślnych przekonań, wygłaszała straszliwe herezje. Dygnitarz ów, wysłuchawszy tego wszystkiego, powiedział: „Mów sobie Pani co chcesz, tak czy owak będziesz zbawiona". Ta anegdota przypomniała mi się, gdym zwiedzał wystawę Wandy Chełmońskiej. Trawestując francuskiego pisarza, możnaby pod adresem artystki powiedzieć: maluj sobie Pani jak chcesz, tak czy owak zostaniesz Polką .Wanda Chełmońska, córka znakomitego malarza, kształciła się w Paryżu, w Ecole des Beaux-Arts i u M. Denis'a, to znaczy przebywała na obczyźnie ponad miarę przeciętną dla innych malarzy naszych. Jakże się ten długi pobyt na jej sztuce odbił? Zdaje się, iż artystka świadomie nie przeciwstawiała się prądom obcym, przeciwnie, skłonna była im ulec, jak to świadczą jej obrazy olejne np. „Z lusterkiem", „W restauracji" „W dancingu" i t. d., wyborem tematu i chęcią interpretacji. Przeciwstawiły się natomiast sztuce paryskiej głęboko tkwiące w Chełmońskiej złoża polskości i one to, między innemi, nie dopuściły w tychże samych obrazach do deformacji kształtu, na tak szeroką skalę uprawianej w malarstwie współczesnem. A już w akwarelach z naszego Pomorza oddychamy razem z artystką pełniej i swobodniej, nabierając w płuca polskiego powietrza. Rozmaita jest treść tych akwarel i to dało asumpt krytyce do mówienia o „szerokiej skali jej talentu". Nie będziemy się o to spierali, zwrócę tylko uwagę, że w różnolitych, pod względem treści literackiej, tematach, interesuje artystkę jedno: migotliwość, życie i ruch plam barwnych. Wyławia je malarka z bogactwa barokowego ołtarza, procesji w Boże Ciało, motywów portowych i t. p. Prace cechuje koloryt bardzo szlachetny, zdawałoby się wyczuty intuicją kobiecą. Ta kobiecość pozatem dała jej sztuce miły sentyment, nie pozbawiony humoru i delikatności. Oto np. obrazek: „Karczma"; niema tu żadnej rubaszności i gdyby tak było w życiu, jak na obrazie, toby przymiotnik: karczemny, oznaczał niemal to samo, co: wersalski.

*

Salon Artystyczny p. t.: „Sztuka i Reprodukcja", Kredytowa 4, rozpoczął swą działalność wystawą szkiców morskich Wiesława Poznańskiego. Prace P. odznaczają się pewną swobodą w operowaniu farbą olejną, zarazem jednak i — powierzchownością.

W. P.

NOWE KSIĄŻKI

Jarosławski Miecz. Szmaragdowy pierścień. Powieść. Poznań. R. Wegner.

Poe Edgar Allan. Morderstwo przy rue Morgue. Przeł. Józef Birkenmajer. Poznań. R. Wegner.

Biggers Earl Derr. Pięćdziesiąt świeczek. Przeł. A. M. Stanecki Poznań. R. Wegner.

Karczewski Jan i Popławski Włodz. Oskarżam. Powieść. Poznań. R. Wegner.

Gawalewicz Marjan. Plotka. Powieść. Poznań. R. Wegner.

Małachowska Mira. Poradnia dla samouków pol. Macierzy Szk. Działy ogólny i nauczycielski. Warsz. (1931) Str. 70.

Kierski Kazimierz. Problemat polsko-czeski. Poznań 1931. Odbitka z „Dzien. Poznań". S. 27.

Chrzanowski Ignacy. Chleb macierzysty „Ody do młodości". Wyd. IV. Warsz. Geb. i Wolff

Hamsun Knut. August Powsinoga. Powieść. Przekład Cz. Kędzierskiego. Poznań 1931. Wydawn. Polskie (R. Wegner).

OFENSYWA

POCHWAŁA KINA

Według danych statystycznych za lipiec, kino-teatry w stolicy „mocarstwa" zwiedziło 648.043 podczas gdy dramatyczne teatry: 72.695. W sierpniu (kiedy stolica jest rzekomo wyludniona) kina zwiedziło 826.884, podczas gdy teatry 74.479. We wrześniu już cyfra widzów kinowych wzrasta (wskutek kryzysu) do zawrotnej wysokości 1.032.383 widzów, podczas gdy cyfra publiczności teatralnej spadła do 60.173.

Jak widzimy z tego: *difference* panie dziejski olbrzymie. Pałką w łeb bije poprostu. Od teatrów publika wielkomiejska odwróciła się zupełnie. Nie chce o nich słyszeć. Frekwencja miesięczna wszystkich teatrów razem wynosi mniej, niż rok temu jednego.

Utarło się teraz zwalać wszystko na kryzys, ciasnotę gotówkową, redukcje, podatki, nędzę, biedę i bryndzę. Dobrze, doskonale, ale skąd w takim razie ten okrągły miljon widzów we wrześniu w kinach? Widocznie więc trochę tam gotówki płynnej jeszcze w kabzach zostało, skoro po wakacyjnych ekspensach tak się wszystko rzuciło do kintopów. Widocznie więc żądza i pęd do *circenses* jest, tylko w innym kierunku zmierza i dąży. Młodzież cała odeszła masowo i stadowo do widowisk sportowych; proste to, prostackie, zoologiczne, żywiołowe, emocjonujące, na powietrzu, pod gołem niebem. Dziwić im się nie można. Gdybyśmy byli młodsi, względnie zgoła młodzi, teżby nas zajmowała kopanina piłek, regaty na Wiśle, pływactwo i najcudniejszy ze sportów: narciarstwo. Mniej nieco lekka i ciężka atletyka, aczkolwiek i grzmocenie się bliźnich pięściami dużo człekowi daje satysfakcji, gdy to jako widz obserwuje. Dziękować Bogu, że jeszcze klimat u nas niżej krytyki i że przez wiosnę, lato i połowę jesieni deszcz leje jak z cebra, bo dzięki tylko temu jeszcze nie cały mob wielkomiejski wywala się na boiska.

Starszą generację zabrało znów teatrom Radjo. Siedzą sobie w domu za piecem i słuchają, jak im brzęczy, ryczy i rozpowiada trele-drele o różnych różnościach, z Warszawy specjalnie nudne, piłowate i monotonne, ale tanie, tanie, no i nie potrzeba z domu nawet wyłazić.

I młodzież i starych atoli wciąga już bezapelacyjnie, bezpowrotnie i beznadziejnie przepotężne kino, sztuka teraźniejszości, będąca właśnie w tych latach w imponującym rozkwicie, po którym także przyjdzie kiedyś czas przekwitu i upadku. Ten stary Gemier b. dyrektor kilku paryskich teatrów (ale od kilku lat skompromitowany i nieczynny) dał któremuś jingełesowi z sanacyjnej prasy wywiad, w którym powiedział duże głupstwo, że niby: „dźwiękowce bardzo mało zaszkodziły teatrom". Nonsens. Dopiero one zaszkodziły co się zowie. Do jakiego stopnia, możemy obserwować w naszych kintopach. Tekst idzie cały w języku nie tyle angielskim ile w specyficznym żargonie amerykańskim. 99 i pół procent publiki nie rozumie ani słówka: oprócz gudbaj, gudłaj! A jednak tłumiska tłoczą się, pocą się w paltach i słuchają zbożnie. Dlaczego tak? Tysiąc powodów. Przedewszystkiem zapominają o wszystkiem, co swoje i swojskie. Byle się nie działo we własnym kraju, byle u innych, byle zapomnieć o rodakach i swojskich krajowych zmartwieniach i zgryzotach. Doszło to do szczytów, odkąd naród i społeczeństwo rozpadło się na dwie części: na Polaków i na Sanatorów. Tłumiska zapełniają kina, bo w nich zapominają na dwie godziny o istnieniu takiich rządów, takich bohaterów, takiej Elity, zapominają o szpiclowstwie, korrupcji, łajdactwach i nędzy. Dlatego też tak się wściekają ludziska na swojską kronikę „Pata". Dopóty jeszcze sam pejzaż: Ojców, Sandomierz, Wieliczka, to doskonale, ale jak się zacznie jakaś parada czy defilada i pokraczny wojewoda składa wieniec albo poświęca „pomnik", wszyscy siedzą z zaciśniętymi z wściekłości zębami, a często słychać półgłosem jakieś nieładne słowa np.: „drańswo" i t. p. Chcą bowiem uciec od swojskości, od takiej swojskości, od rzeczywistej rzeczywistości polskiej. Na tem głównie zasadza się zwycięstwo kina, stąd ten miljon widzów w kryzysowym wrześniu. Pęd do kin jest zatem w dużym procencie ucieczką od sanacyjnej swojskości, od sanacyjnej rzeczywistości ku *egzo*, ku najdalszej choćby, byle obczyźnie. Pod tym zaś względem aktualny rozkwit sztuki filmowej daje nam wprost niebywałe uczty i fety. Człowiek normalny w jednym miesiącu bez paszportu zagranicznego, bez wiz, bez kufrów, bez fatygi dzień w dzień zwiedza sobie to Sumatrę, to wyspy Malajskie, to Mandżurję, to Polinezję, Korsykę, Alpy w śniegu, Azję podczas burzy, Afrykę na Citroenie, Kongo, prerje, Kaniony, Missisipi, Orinoko, Grenlandję. Znudzą mu się ludy jarskie, roślino-żerne to idzie na film z ludożercami, żeby się przekonać, o ile to szlachetniejszy gatunek od ordynarnych mieszańców z wyspy Bebewuerji od takich białych Batokudów czy Chipawayów jak pp. Sanojca *alias* Burda. Ileż to razy w ostatnim roku bywało się w Hiszpanji! Co się nie przeżywało w Alpach! Jakie emocje na Biegunie Północnym! Człowiek zapomina na dwie godziny, że jest robakiem, czy bliźnim tylu, tylu łajdaków z pod najciemniejszej gwiazdy, że ma wspólny język z tyloma, tyloma kanaljami i szubienicznikami. Tylko filmy egzotyczne, w całości mówione i śpiewane po angielsku, pozwalają normalnemu Polakowi ery sanacyjnej zapomnieć doszczętnie i bez reszty o odrażającej moralnej ohydzie przeżywanej ery.

Nie trzeba się zatem dziwić i załamywać rąk, że w kinach we wrześniu: miljon a w teatrach: 60 tysięcy. Przed rzeczywistą rzeczywistością uciekają mieszkańcy stolicy w rajską krainę ułudy, kędy kino tworzy cudy. Dawniej do kin pchał się tylko mob, teraz przepełnia je także inteligencja. Nie tylko z tego względu, że to „najtańsza turystyka", że się poznaje świat cały, dotychczas dla nieglobetrotterów zamknięty i niedostępny, ale głównie z tego powodu, że to ucieczka dla tych, którzy jeszcze nie przyswoili sobie duchowo przysłowia angielskiego; *right or wrong my country* i z takim nadmiarem: *wrong* żyć się nie potrafią.

U nas jeszcze do definitywnego upadku teatru przyczyniły się obok: *magistratus* i administracja, dwie grupy: ZAD i ZASP. O drugiej za dużo się gadało i pisało, o pierwszej zamało. Zebrani w korporacji „Związku Autorów Dramatycznych" panowie, korzystając z nieobecności wakacyjnej w Warszawie tych kilku pisarzy dramatycznych, z którymi u nas można się liczyć (Rostworowski, Szaniawski, Nałkowska, Fijałkowski, Miłaszewski, Zegadłowicz, Witkiewicz, Siedlecki, Nowaczyński) wybrali sobie prezesem zarządu coś tak zabawnego, bulwarowego, lekkiego i przelotnego jak p. Wacław Grubiński? Jaki prezes, taki cały ten ZAD i ta cała twórczość autorów z ZADU, tłumaczy sobie publiczność. W konsekwencji „zadem" też obraca się do teatru a na całym froncie wali gromadnie do kintopów.

I dziwić się jej ani oburzać na nią niema racji i sensu. Przekłada inteligentne i artystyczne filmy nad tandetne rodacze, robaczywe wypociny i gadaniny. Niech autorzy dramatyczni zaczną serjo traktować i swój ZAD i swoją twórczość i swoje posłannictwo, to może i publiczność z czasem wróci znów do teatru, oczywiście nigdy już w takiej liczbie i z takim zapałem jak dawniej. Ale domagać się od inteligencji wielkomiejskiej takiego zaparcia się siebie, żeby zamiast na Buster Keatona szła np na Juljusza Cezara w koncepcji „prezesa" Grubińskiego, to jest stanowczo za dużo. I to jest passeizm.

Zagrajcie atoli dzisiaj, wznówcie najaktualniejszy dramat, napisany przez genjalnego poetę, zagrajcie „Caligulę" Rostworowskiego, a zobaczycie, jakie tłumy znów zapełnią widownię, dziś opustoszałą i smętną.

Zbojkotuje to zapewne nasza „Elita", ale dla niej wystarczy chyba „Pat i Patachon".

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Kurjer Wileński" (nr. 240) podaje dwie wieści z Mickiewiczowskiego Nowogródka:

1) Na terenie województwa nowogródzkiego i poleskiego poczęła ostatnio przejawiać intensywną działalność spółka żydowska „Ika", która operując kapitałami zagranicznemi, skupuje posiadłości ziemskie w celu stworzenia na roli kolonij żydowskich.

2) Ponieważ p. wojewoda Kostek-Biernacki chwilowo zaniemógł, zapowiedziany na dziś w Nowogródku raut został odwołany. W dniu dzisiejszym odbędzie się zabawa w „Ognisku" na rzecz bezrobotnych.

Żydzi kupują, Polacy się bawią. Ziemia za kapitały zagraniczne, zabawy—za krajowe.

*

Opłata pocztowa za kartki pocztowe w obiegu zagranicznym wynosi teraz 35 gr. + 5 gr. na bezrobotnych, razem 40 groszy. Niby to drobiazg, ale gdy trzeba będzie wysłać na 19 marca 5 miljonów kartek do Palestyny, kosztować nas to będzie 2 miljony. Kartki same p. Szymański sprzedawać będzie po 15 gr., to znowu będzie kosztowało 750.000 zł. Razem 2.750.000 złotych. P. Boerner doskonale to przewidział, podnosząc taryfę.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.